

NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor.—4 Mrk. 25 fen.—1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 50 fen. 3 Rbs. 60 kop. z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop. z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop. W Ameryce: półrocznie 2 dolary 25 cts.— Rocznie 4 dol. 50 cts.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW, Zacisze 7. Tel. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VII. Kraków, 28 maja 1910. Nr. 22.

Ohydna zbrodnia w Warszawie.

(Treść na str. 2).



Nr. 22. „Nowości illustrowanych" zawiera: Jubileusz znakomitego lekarza. — Roosevelt w Berlinie. — Uczczenie sędziwego kompozytora. — Po zgonie króla Anglii. — Restauracya kościoła św. Katarzyny w Krakowie. — Tryumfy Cygalewicza w Ameryce. — Odznaczenie strażaków. — „Garden Party" w Krakowie. — Zgon znakomitej autorki polskiej. — Z wystawy łowieckiej w Wiedniu. — Match [illegible]

Ohydna zbrodnia w Warszawie.

Od kilku dni znajduje się cała Warszawa pod wrażeniem strasznej, ohydnej zbrodni, spełnionej tam na osobie młodego, 17 letniego chłopca, Stanisława Chrzanowskiego. Zbrodnia ta, której pobudki i motywy są dotąd nieznane, poruszyła umysły ogółu ludności w sposób niezwykle silny, bo spełniono ją istotnie w warunkach nadzwyczajnie tajemniczych.



Ohydna zbrodnia w Warszawie: Śp. Stanisław Chrzanowski.

Trudne zadanie ma obecnie do rozwiązania policya warszawska, chcąc wykryć mordercę, czy też morderców śp. Chrzanowskiego, zdaje się jednak, sądząc po dotychczasowych wynikach śledztwa, iż usiłowania jej uwieńczone zostaną wnet pomyślnym wynikiem.

Miejscem ohydnej zbrodni był jeden z pokoji w tzw. „szambrach“ czyli pokojach umeblowanych Feliksa Zawadzkiego przy ul. Marszałkowskiej l. 112. Przed kilku dniami dano stamtąd znać do policyi, iż lokator, zajmujący tam jeden z apartamentów, Stanisław Chrzanowski, zamknął się poprzedniego dnia w swem mieszkaniu i nie daje znaku życia. Przy pomocy ślusarza otwarto tedy drzwi mieszkania Chrzanowskiego i wkroczono do wnętrza. Oczom przybyłych przedstawił się straszny, wstrząsający widok. W kałuży zaskrzepłej krwi leżał na ziemi trup młodego chłopaka. Obok porzucony rewolwer zdawał się wskazywać, iż zachodzi tu samobójstwo. Śledztwo atoli wykazało zaraz na miejscu, że o samobójstwie niema w tym wypadku mowy, że natomiast spełniona tam została zbrodnia morderstwa a następnie zbrodniarze usiłowali — i to bardzo niedołężnie — inscenizować samobójstwo.

Zamordowanym był 17-letni Stanisław, uczeń prywatnej szkoły kupieckiej Wróblewskiego, syn pp. Bronisławów Chrzanowskich, zamożnych obywateli, mieszkających w Warszawie przy ul. Włodzimierskiej l. 10. Młody chłopak prowadził się wzorowo, był pilnym i pracowitym uczniem, łatwo też zrozumieć zaniepokojenie rodziców, gdy syn ich, wyszedłszy rano do szkoły, nie wrócił na obiad, ani wieczór do domu, a następnego dnia nie zjawił się w szkole. Odnieśli się więc do policyi z prośbą o zarządzenie poszukiwania za zaginionym. W tym właśnie czasie nadeszło doniesienie od Zawadzkiego o samobójstwie w jego „szambrach“ spełnionem.

Władze śledcze wzięły się bardzo energicznie do zbadania tajemniczego wypadku. Zeznania właściciela „szambrów“ Zawadzkiego, jego żony, służącego Siemińskiego i stróża domu Zielińskiego w wielu szczegółach różniły się między sobą, widać też było, iż wiedzą oni wszyscy więcej, niż zeznają, wobec czego policya wszystkich ich aresztowała. Celem wyśledzenia winnych, konieczną jest rzeczą ustalenie motywów zbrodni, które dotąd są zupełnie tajemnicze. Na pewne można orzec, że motywem tym nie była grabież, gdyż śp. Chrzanowski nie nosił nigdy pieniędzy ani precyozów, nie była też żadna sprawa polityczna, gdyż ofiara zbrodni, chłopak młody, nie brał nigdy udziału w ruchu politycznym i że nie była tu motywem miłość lub seksualizm, gdyż dotychczasowe życie zamordowanego młodzieńca wyklucza stanowczo tego rodzaju przypuszczenia. Uzasadnione zaś jest podejrzenie, iż komuś chodziło o usunięcie ze świata śp. Chrzanowskiego, że zbrodnię od dłuższego czasu przygotowywano, a dokonano jej prawdopodobnie przy pomocy wynajętych zbirów.

Policya stara się przedewszystkiem ustalić okoliczność, kto wynajął mieszkanie, gdzie zbrodnię spełniono. Zeznania Zawadzkiego są w w tym kierunku niejasne.

Nowy, sensacyjny ogromnie zwrot w sprawie nastąpił w ubiegły czwartek, gdy aresztowano znanego w Warszawie literata hr. Bohdana Jaksę Ronikiera, szwagra śp. Chrzanowskiego, pod zarzutem współwiny i współudziału w ohydnej zbrodni. Hr. Ronikier, człowiek wysokiej inteligencyi, autor kilku powieści i dramatów, cieszący się dotąd w kołach towarzyskich Warszawy jak najlepszą opinią, znany był i w Krakowie, gdyż teatr miejski wystawił tu jeden z jego utworów i w tym czasie bawił hr. Ronikier przez czas jakiś w Krakowie.

Śledztwo ustaliło szereg okoliczności, obciążających bardzo silnie hr. Ronikiera. Zawadzki bowiem, skonfrontowany z nim, zeznał, iż hr. Ronikier był tym, który pokój u niego wynajął, także handlarze mebli i dywanów rozpoznali go jako tego, który kupił meble do owego pokoju. Wreszcie badania daktyloskopijne miały stwierdzić, iż odbitki tzw. linii



Ohydna zbrodnia w Warszawie: Bohdan hr. Ronikier, aresztowany pod zarzutem współudziału w zbrodni.

pepilarnych obwinionego, odpowiadają znakom, znalezionym na lampie.

Mimo to wszystko i mimo aresztowania hr. Ronikiera, o winie jego mówić jeszcze stanowczo nie można. Nie jest bowiem wykluczone, iż morderca starał się przy zacieraniu śladów własnej winy, nagromadzić poszlaki przeciw innej osobie, wiedząc, że ze względu na pewne stosunki rodzinne podejrzenie takie może powstać. Dopóki więc śledztwo nie zostanie ostatecznie ukończone, dopóki cała sprawa nie zostanie należycie wyjaśniona, należy się wstrzymać z potępieniem hr. Ronikiera.

Hr. Ronikier jest od lat kilku ożeniony z rodzoną siostrą zamordowanego. Majątek pp. Chrzanowskich oceniają na milion rubli; córka ich, wychodząc za mąż, otrzymała 50.000 rubli rocznej



Fot. J. Poretz, Sanok.

Po 40 latach pracy: Personal urzędu pocztowego w Sanoku wraz z jubilatem Wacławem Hessem(X).

renty. Syn najstarszy Jan jest agronomem i gospodaruje w majątku rodziców, trzeciem najmłodszem dzieckiem był właśnie zamordowany Stanisław.

Policya warszawska stara się obecnie usilnie o wyjaśnienie motywów, które mogły popchnąć czy to hr. Ronikiera, czy kogo innego, do straszliwej zbrodni.

Po 40 latach pracy.

Urząd pocztowy w Sanoku pożegnał w uroczysty sposób jednego z wieloletnich swych współpracowników, podurzędnika poczty Wacława Hessa, który, choć zajmował skromne stanowisko, umiał swym charakterem, swą pracowitością i sumiennością zjednać sobie powszechny szacunek, a po 40 latach służby, przechodząc w stan zasłużonego spoczynku, otrzymał medal honorowy.



Jubileusz znakomitego lekarza: Prof. dr. Stanisław Pareński.

W dniu, w którym p. Hess opuścić miał swe skromne stanowisko, zebrali się wszyscy funkcyonaryusze w biurze naczelnika poczty p. Kierniga, a kontrolor p. Siess przemówił do jubilata w szczerych i gorących słowach, podnosząc zalety jego charakteru i składając mu życzenia z powodu otrzymania medalu honorowego. Następnie naczelnik urzędu p. Kiernig przypiął p. Hessowi odznakę. Na zakończenie nastąpiło wspólne zdjęcie fotograficzne grupy całego personalu urzędu wraz z jubilatem.



Po zgonie króla Anglii: Uroczyste ogłoszenie proklamacyi króla Jerzego V. na giełdzie w Londynie.

Jubileusz znakomitego lekarza.

W dniu 1 czerwca b. r. upływa trzydzieści pięć lat, jak prof. dr. Stanisław Pareński objął obowiązki prymaryusza oddziału chorób wewnętrznych w krajowym szpitalu św. Łazarza w Krakowie. Szmat czasu spory, to też celem uczczenia jubileuszu znakomitego lekarza i prawdziwego opiekuna cierpiących, zawiązał się komitet, złożony z kolegów i uczniów jubilata, który postanowił obok uczczenia przez ogół lekarzy upamiętnić tę chwilę przez stworzenie trwałej jej pamiątki pod formą: „Fundusz imienia Pareńskiego dla ozdrowieńców, opuszczających szpital św. Łazarza“.

Długoletnia działalność prof. Pareńskiego, najznakomitszego naszego dyagnosty i wybornego pedagoga, każe się spodziewać, że w obecnym jubileuszu wezmą udział najszersze koła polskiego społeczeństwa, mogące w ten sposób dać wyraz uznaniu i sympatyi, jaką się powszechnie cieszy jubilat.

Prof. dr. Pareński urodził się w Krakowie 1843 r. Po ukończeniu szkoły średniej poświęcił się stu-



„Garden Party“ w Krakowie: Współpracowniczki ambulatoryum PP. Ekonomek, na którego dochód odbędzie się w sobotę 28 b. m. „Garden Party“.

dyom medycznym, które jednak przerwał zaraz na wstępie, rzuciwszy ławy szkolne na odgłos walki narodowej 1863 r. Młody student wziął udział we wszystkich potyczkach, jakie oddział Mossakowskiego przebył w czasie powstania. Po nieszczęśliwym końcu powstania wrócił prof. Pareński do Krakowa i ukończył przerwane studya medyczne, zdobywając



Po zgonie króla Anglii: Przeniesienie zwłok króla Edwarda VII. Za żałobnym rydwanem król Jerzy V. z synami.

1868 r. dyplom lekarski. Przez dwa lata pracował następnie jako asystent przy katedrze anatomii patologicznej na uniwersytecie Jagiellońskim, a w 1870 r. został sekundaryuszem na oddziale chorób wewnętrznych w szpitalu krakowskim. Pracował potem jako asystent na klinice chorób wewnętrznych, a w 1872 został prywatnym docentem dyagnostyki chorób wewnętrznych, w trzy lata później zaś prymaryuszem szpitala. Po za sprawami naukowemi i zawodowemi zajmował się także gorliwie stosunkami sanitarnymi Krakowa, jeszcze zanim został powołany na członka Rady miejskiej. Postęp, jaki widoczny jest na tem polu w Krakowie w latach ostatnich, to niezaprzeczona zasługa prof. dr. Pareńskiego. W r. 1884 otrzymał dr. Pareński tytuł nadzwyczajnego profesora uniwersytetu, a 1890 został mianowany nadzwyczajnym profesorem patologii i terapii chorób wewnętrznych w uniwersytecie Jagiellońskim. Jako nauczyciel zdobył sobie prof. Pareński sławę niepospolitego pedagoga. Pod jego kierunkiem wykształciło się na Wszechnicy Jagiellońskiej kilka pokoleń lekarzy, z pośród których wielu zajęło bardzo wybitne stanowiska jako uczeni teoretycy, lub znakomici praktycy.

Słynie też prof. dr. Pareński daleko poza Krakowem jako niezrównany dyagnosta i lekarz, a dziesiątki i setki ludzi zawdzięcza mu nietylko zdrowie ale i życie. Nazwisko prof. Pareńskiego jest dzięki temu ogromnie popularne, a otaczane wielkim szacunkiem i poważaniem.

Obok zajęć pedagogicznych, naukowych i praktycznych poświęca prof. dr. Pareński wiele czasu sprawom publicznym. Tu na pierwszem miejscu stoi jego działalność w krakowskiej radzie miejskiej, której członkiem jest bez przerwy rok trzydziesty. Jako prezes Komisyi dobroczynnej powołał do życia i utrzymuje „Herbaciarnie ludowe“. Także na innych polach, zwłaszcza w zakresie stosunków sanitarnych, zdziałał dla Krakowa bardzo wiele. Jest też prof. dr. Pareński członkiem wielu towarzystw dobroczynnych i naukowych, a od dwu lat sprawuje obowiązki prezesa delegacyi krakowskiej towarzystwa wzajemnej pomocy uczestników powstania 1863 r., rozwijając na wszystkich tych polach niezmordowaną, ogromnie skuteczną działalność. Wspomnieć wreszcie należy, że rozwój polskich zdrojowisk zawdzięczać należy prof. dr. Pareńskiemu, który, powodowany szczerze dobrem kraju, wszystkich niemal pacyentów odsyła do zdrojowisk naszych. Ze względu na te zasługi, powołało go Polskie Towarzystwo balneologiczne na stanowisko swego prezesa, po ustąpieniu Jana hr. Potockiego.

Bardzo wielkie zasługi położył też prof. Pareński na polu ściśle naukowem, a wyniki jego pracy w tej dziedzinie w formie artykułów fachowych, broszur i książek są bardzo obfite i bardzo cenne. W szczególności jego dzieło o malaryi zyskało mu rozgłos w całym świecie naukowym, jako pierwsze w tej dziedzinie, a nadzwyczaj gruntownie opracowane.

Z okazyi zbliżającego się jubileuszu przesyłamy czcigodnemu Solenizantowi serdeczne życzenia: *Ad multos annos!*

Uczczenie sędziwego kompozytora.

Pomiędzy austryackimi kompozytorami jedno z naczelnych miejsc zajmuje bezsprzecznie Karol Goldmark, który w bieżącym miesiącu obchodził ośmdziesiątą rocznicę urodzin.

Urodzony w miejscowości Keszthedy na Węgrzech, w pierwszych już latach życia przeniósł się do Odenburgu, gdzie mając lat ośm wystąpił po raz pierwszy publicznie i porwał słuchaczy swą mistrzowską grą na skrzypcach. Dalsze studya odbywał u wiedeńskich skrzypków Leopolda Jansy i Józefa Böhma, a w r. 1847 wstąpił do tamtejszego konserwatoryum. Odtąd rozpoczęło się dla Goldmarka pasmo ciężkich chwil, brat jego bowiem, zamieszany w sprawy polityczne, musiał uciekać do Ameryki, a młody muzyk znalazł się na wiedeńskim bruku bez środków do życia. Nie stracił jednak ochoty do pracy, zadowolnił się licho płatnem stanowiskiem skrzypka orkiestrowego i udzielał lekcyi muzyki, pracując jednak dalej usilnie nad swem muzykalnem wykształceniem. Już w r. 1857 dał się poznać jako utaletowany kompozytor, a przez dwa lata ciężkiej pracy nabrał takiej muzycznej wprawy, iż już w r. 1860 powraca do Wiednia jako nauczyciel gry fortepianowej i kompozytor i otrzymuje stypendyum rządowe, które umożliwia mu całkowite poświęcenie się umiłowanemu zawodowi. Powstaje też cały szereg znakomitych kompozycyi muzycznych, które roznoszą po świecie sławę jego imienia (Wiejskie wesele, Symfonia es-dur, Na wiosnę, Sakuntala, Penthesilea, Uwięziony Prometeusz, Sapho, opery: Królowa Saby, Merlin, Jeńcy, Götz z Berlichingen, Baśń zimowa i wiele innych). Dzieła te opracowane nader starannie i umiejętnie, o barwnej i nad wyraz melodyjnej instrumentacyi, są prawdziwemi perłami muzycznemi z epoki przełomowej z dziewiętnastego ku dwudziestemu stuleciu. Autor wzorował się w nich więcej na najznakomitszych kompozytorach francuskich, niż n. p. na tak popularnym u Niemców Wagnerze.

Ośmdziesiątą rocznicę urodzin znakomitego kompozytora obchodzono nader uroczyście, a cesarz Franciszek Józef nadał jubilatowi przy tej sposobności najwyższą honorową odznakę: *litteris et artibus.*



Roosevelt w Berlinie: Cesarz Wilhelm i Roosevelt podczas parady wojskowej pod Berlinem.

Maurice Leblanc.

TAJEMNICZE DOKUMENTY.

3 (Ciąg dalszy).

Pan Lenormand tego dnia wydawał się jeszcze więcej zmęczonym, niż zwykle. Usiadł ruchem znużonym, rozsunął poły surduta, starego surduta, sławnego przedawnionym krojem i zielono oliwkowym kolorem; rozwiązał na szyi chustkę fularową, niemniej sławny brązowy fular; oparł się oburącz na lasce i szepnął:

— Mów!

Gourel opowiedział wszystko, co widział i wszystko, czego się dowiedział — pokrótce, zwyczajem wszczepionym weń przez szefa.

Gdy jednakże pokazał bilet Lupina, p. Lenormand zadrżał.

— Lupin! — zawołał.

— Tak Lupin — oto wypłynął znowu... ta bestya!

— Tem lepiej, tem lepiej — mruknął p. Lenormand po chwili zastanowienia.

— Oczywiście tem lepiej — powtórzył Gourel, lubił bowiem objaśniać rzadkie słowa zwierzchnika, któremu to jedno zarzucał, że był nadto małomównym. — Tem lepiej, bo będzie się pan mógł nareszcie zmierzyć z godnym siebie przeciwnikiem. I Lupin znajdzie pogromcę... Lupin...

— Szukaj — wpadł mu w słowo p. Lenormand.

Brzmiało to, jak rozkaz myśliwca w stosunku do wyżła. I rzeczywiście Gourel na sposób dobrego psa, żywego, inteligentnego, badawczego, robił poszukiwania na oczach swego pana. Pan Lenormand końcem laski ukazywał mu to jakiś kąt, to jakiś fotel, jakby mu wskazywał krzak, lub kępę trawy— a Gourel przetrząsał krzak, czy też kępę z drobiazgową sumiennością.

— Niema nic — oświadczył wkońcu.

— Nic dla ciebie — mruknął p. Lenormand.

— To właśnie chciałem powiedzieć... Ja wiem, że panu to same rzeczy mówią, jak ludzie, jak prawdziwi świadkowie. Mimo to, jest to bądź co bądź zbrodnia, którą zapisać należy na *conto* pana Lupina.

— Pierwsza — zauważył p. Lenormand.

— Pierwsza, to prawda... Ale to było nieuniknione. Kto prowadzi takie życie, ten prędzej czy później zmuszony bywa do zbrodni, choćby przez same okoliczności. Pan Kesselbach zapewne się bronił...

— Nie, gdyż był przywiązany.

— To prawda — przyznał Gourel zmieszany— i to jest nawet wielce ciekawe... Dlaczego zabijać przeciwnika, który właściwie już nie istnieje? Ale mniejsza z tem; gdybym go był schwycił za kołnierz, wczoraj, gdy stałem z nim twarz w twarz, na progu przedpokoju...

P. Lenormand wyszedł na balkon, następnie zwiedził pokój pana Kesselbacha na prawo, zbadał zamki u okien i drzwi.

— Okna obu tych pokoi były zamknięte, gdym wchodził — oświadczył Gourel.

— Zamknięte, czy przymknięte?

— Nikt ich nie tykał. A teraz są zamknięte.

Gwar głosów przywabił ich z powrotem do salonu. Zastali tam lekarza sądowego, oglądającego zwłoki i sędziego śledczego, pana Formerie.

Pan Formerie wołał:

— Arsen Lupin! Rad jestem, że traf szczęśliwy stawia mnie znowu oko w oko z tym bandytą! Jeszcze mnie pozna ten łotr! A tym razem sprawa o morderstwo!... Ze mną masz do czynienia, panie Lupin!...

Pan Formerie nie ogłosił światu dziwnej przygody z dyademem księżnej Lamballe i tego, w jak nadzwyczajny sposób dał się Lupinowi wywieść w pole. Stało się to przed kilkoma laty i uwiecznione zostało w rocznikach sądowych. Śmiano się z tego dotychczas, a pan Formerie dotąd pieścił w duszy marzenie o odwecie.

— Zbrodnia jest tu oczywista — wygłosił z przekonaniem — łatwo też nam będzie wyświetlić motywy. A więc wszystko dobrze... witam pana, panie Lenormand i bardzo mi miło...

Panu Formerie wcale nie było „miło". Obecność pana Lenormand wcale mu nie dogadzała, gdyż szef bezpieczeństwa nie ukrywał ani trochę lekceważenia, z jakiem się do niego odnosił.

[illegible]imo to wyprostował się i ciągnął uroczyście

— Więc pan, doktorze, uważasz, że śmierć nadwanaście godzin temu, a może i więcej... ja to samo przypuszczam... jesteśmy więc najzupełniej zgodni... a narzędzie zbrodni?

— Nóż o bardzo cienkiem ostrzu, panie sędzio śledczy — odpowiedział lekarz. — Widzi pan, oto tu próbowano ostrza na własnej chustce zmarłego...

— Prawda... prawda... ślad widoczny. A teraz wypytamy sekretarza i służącego pana Kesselbacha. Ani wątpię, że ich badanie dostarczy nam nowego światła.

Chapman, którego przeniesiono do jego własnego pokoju, na lewo od salonu i Edwards również, zdołali już tymczasem odpocząć po swoich przejściach. Chapman szczegółowo opowiedział wydarzenia dnia poprzedniego, rozmowę swoją z panem Kesselbachem, niepokoje bankiera, zapowiedzianą wizytę rzekomego „pułkownika" i wreszcie napaść, której padli ofiarą.

— Ach! — zawołał pan Formerie — a więc jest i wspólnik, i pan słyszałeś, jak się nazywa... Marco, mówi pan? To bardzo ważne. Gdy będziemy mieć w ręku wspólnika, powiem, że zaszliśmy daleko...

— Tak, ale nie mamy go w ręku — zauważył pan Lenormand.

— Zobaczymy — wszystko w swoim czasie... A więc, panie Chapman, ten Marco wyszedł zaraz po dzwonku pana Gourela?

— Tak jest, słyszeliśmy, że wychodził.

— A potem po jego wyjściu nie słyszeliście już nic więcej?

— Owszem... od czasu do czasu, ale nie dokładnie... drzwi były zamknięte.

— I jakie to były odgłosy?

— Słychać było, że ktoś mówi... Ta osobistość...

— Nazywaj go pan po nazwisku. Arsen Lupin.

— Arsen Lupin musiał telefonować.

— Doskonale! Wybadamy tę osobę w hotelu, która prowadzi połączenia z miastem. A później słyszał pan, że i on także wychodził?

— Przekonał się, czy więzy nasze trzymają dobrze i w kwadrans później wyszedł, zamykając za sobą drzwi przedpokoju.

— Tak, skoro tylko dokonał zbrodni. Doskonale — doskonale — wszystko się wiąże. A potem?

— Potem już nic więcej nie słyszeliśmy... minęła noc... usnąłem ze zmęczenia... Edwards to samo... i dopiero dzisiaj rano...

— Tak, wiem .. No, nieźle idzie... wszystko się wiąże...

I podkreślając etapy swego badania, jak gdyby podkreślał tyleż zwycięstw nad nieprzyjacielem, szepnął w zamyśleniu:

— Wspólnik... telefon... godzina zbrodni... odgłosy zasłyszane... dobrze, bardzo dobrze... Pozostaje nam ustalić powody zbrodni... W tym wypadku, ponieważ chodzi o Lupina, powód jest jasny. Panie Lenormand, czy pan nie znalazł najmniejszego śladu włamania?

— Najmniejszego nie znalazłem.

— W takim razie kradzież została spełniona na samej osobie ofiary. Czy odnaleziono jego portfel?

— Zostawiłem go w kieszeni żakietu — rzekł Gourel.

Przeszli wszyscy do salonu, i tam się przekonali, że portfel zawierał tylko bilety wizytowe i papiery osobiste.

— To dziwaczne. Panie Chapman, może mógłbyś nam pan powiedzieć, czy pan Kesselbach miał przy sobie pieniądze?

— Tak jest; w wilię, to jest przedwczoraj, w poniedziałek, poszliśmy do Crédit Lyonnais, gdzie pan Kesselbach wynajął schowek ogniotrwały...

— Schowek w Crédit Lyonnais? Dobrze... trzeba będzie tam się zwrócić.

— I zanim wyszedł, pan Kesselbach otworzył sobie conto w banku i wziął pięć czy sześć tysięcy franków w banknotach.

— Bardzo dobrze... to nas objaśnia.

Chapman ciągnął dalej.

— Jest tu jeszcze inny punkt, panie sędzio śledczy. Pan Kesselbach, który od kilku dni bardzo był niespokojny — mówiłem panu, jaki był tego powód... pewien projekt, do którego przywiązywał nadzwyczajną wagę — otóż pan Kesselbach o dwie rzeczy dbał przedewszystkiem; najpierw o hebanową szkatułkę i tę szkatułkę umieścił bezpiecznie w Crédit Lyonnais i o małą kopertę z czarnej skóry, w którą wkładał jakieś papiery.

— I cóż z tą kopertą?

— Przed przyjściem Lupina włożył ją w moich oczach do tej torby podróżnej.

Pan Formerie wziął torbę i przeszukał ją. Koperty w niej nie było.

Zatarł ręce.

— Dobrze... dobrze... wszystko się wiąże. Wiemy, kto winien, wiemy, jakie były warunki i jaki powód zbrodni. To nie będzie długa sprawa. Nieprawdaż, zgadzamy się we wszystkiem, panie Lenormand?

— W niczem.

Nastała chwila zdumienia. Wszedł komisarz policyi, a za nim, pomimo ajentów, pilnujących drzwi, tłum dziennikarzy i osób z hotelu wdarł się i zalegał przedpokój.

Chociaż znaną była szorstkość Lenormanda, szorstkość, która niekiedy graniczyła z niegrzecznością i którą mu nieraz zwierzchnie władze wytykały, jednakże ta szorstka odpowiedź zmieszała obecnych. A zwłaszcza pan Formerie oniemiał na razie.

— A jednak — rzekł — mnie się to wszystko bardzo prostem zdaje. Lupin jest tu złodziejem...

— Dlaczegóż miał zabijać? — rzucił pytanie pan Lenormand.

— Ażeby okraść.

— Przepraszam. Zeznanie świadków opiewa, że kradzież spełnioną została przed morderstwem. Pana Kesselbacha najpierw zraniono i zakneblowano, a dopiero potem zamordowano. Dlaczegoby Lupin, który dotychczas nigdy nie popełnił zbrodni, miał zabijać człowieka bezbronnego i już ograbionego przedtem?

Sędzia śledczy pogładził ręką długie blond faworyty, jak zwykle, gdy sprawa jakaś wydawała mu się nierozwiązalną. Odpowiedział w zamyśleniu:

— Możnaby na to dać różne odpowiedzi...

— Naprzykład?

— To zależy... to zależy od wielu czynników, jeszcze nieznanych... A zresztą zarzut odnosić się tylko może do istoty powodów. Co do reszty zgadzamy się przecież.

— Bynajmniej.

I tym razem znowu brzmiało to jasno, ostro, prawie niegrzecznie, do tego stopnia, że sędzia, zupełnie rozbrojony, stał zmieszany wobec tego dziwacznego współpracownika. Wkońcu wykrztusił:

— Każdy ma swój system. Byłbym ciekaw poznać pański.

— Ja nie mam systemu.

Szef bezpieczeństwa powstał i przeszedł parę kroków przez salon, opierając się na lasce. Milczeli wszyscy dokoła niego... i ciekawem było widzieć, jak w gronie, w którem odgrywał ostatecznie tylko rolę pomocnika, podwładnego, ten starzec chuderlawy, złamany, siłą powagi panował nad innymi; podlegali jej, nie uznając jej jeszcze.

Odezwał się po długiem milczeniu:

— Chciałbym zobaczyć pokoje, ktore przytykają do tego apartamentu.

Dyrektor pokazał mu plan hotelu. Pokój na prawo, pokój pana Kesselbacha wychodził jedynie na przedpokój tegoż samego apartamentu; innego wyjścia nie miał.

Ale pokój sekretarza, na lewo, łączył się z innym pokojem.

— Obejrzymy ten pokój — rzekł.

Pan Formerie wzruszył ramionami i mruknął:

— Ależ drzwi łączne zasunięte są na rygiel, a okno zamknięte.

— Obejrzymy ten pokój — powtórzył p. Lenormand.

Zaprowadzono go do tego pokoju; był to pierwszy z pięciu, zarezerwowanych dla pani Kesselbach. Następnie poprosił, żeby mu pokazano dalsze pokoje. Wszystkie drzwi łączne zamknięte były z obu stron na zasówki.

Rzucił pytanie.

— Czy żaden z tych pokoi nie jest zajęty?

— Żaden.

— A klucze?

— Klucze są zawsze w biurze zarządu.

— Więc zatem nikt wejść tutaj nie mógł!...

— Nikt, tylko garson z tego piętra, który ma obowiązek wietrzyć i ścierać kurze.

— Proszę go zawołać.

Służący, imieniem Gustaw Bedand, odpowiedział, że dnia poprzedniego, tak, jak brzmiało rozporządzenie, zamykał okna w tych pięciu pokojach.

— O której godzinie?

— O szóstej wieczór.

— I nie zauważyłeś czasem czego?

— Nie, nic.

— A dzisiaj rano?

— Dziś rano zamykałem okna, gdy właśnie ósma biła.

— I nic nie znalazłeś?

— Nie... nic... chociaż właściwie...

Wahał się. Zarzucono go pytaniami, tak że wkońcu przyznał.

— A więc prawda, znalazłem niedaleko kominka pod 420 papierośnicę,... którą chciałem dziś wieczór odnieść do biura zarządu...

— Czy masz przy sobie tę papierośnicę?

— Nie. Jest ona w moim pokoju. Jest to papierośnica stołowa, koloru brązowego. Z jednej strony kładzie się tytoń i bibułki do kręcenia, z drugiej zapałki. Na wierzchu są dwie złote litery: L i M.

— Co mówisz?

To Chapman wysunął się naprzód. Zdawał się bardzo zdziwiony i wypytywał służącego.

— Papierośnica z brązowej stali, powiadasz?

— Tak.

— Z trzema przedziałkami na tytoń, bibułki i zapałki... tytoń rosyjski, nieprawdaż? Cienko krajany, jasny?

— Tak.

— Idź, przynieś ją. Chciałbym ją widzieć... chciałbym sam sobie zdać sprawę...

Gustaw Bedand, na znak dany przez szefa bezpieczeństwa, poszedł.

Pan Lenormand usiadł i przenikliwym wzrokiem rozglądał się po dywanie, meblach, firankach.

— Czy w istocie znajdujemy się pod numerem 420 — zapytał.

— Tak jest.

Sędzia się zaśmiał.

— Radbym też wiedział, jakiego to związku możesz się pan doszukiwać pomiędzy tą okolicznością, a właściwym dramatem. Pięcioro zamkniętych drzwi oddziela nas od pokoju, w którym pan Kesselbach został zamordowany.

Pan Lenormand nie raczył odpowiedzieć.

Upływał czas. Gustaw nie wracał.

— Gdzie on mieszka, panie dyrektorze? — zapytał szef.

— Na szóstem piętrze, a więc nad nami. To ciekawe, dlaczego go dotąd niema.

— Czy byłby pan łaskaw posłać kogo?

Dyrektor poszedł sam, a Chapman mu towarzyszył.

Za kilka minut dyrektor powrócił sam. Biegł, twarz jego zdradzała wzburzenie.

— No i cóż?

— Nie żyje...

— Zamordowano go?

— Tak jest.

— A, do kroćset! potężni są ci nędznicy! — rzekł pan Lenormand.— Dalej! prędko Gourel! Zamknąć bramy hotelu!... Pilnować wszystkich wyjść!... A pan, panie dyrektorze, niech nas pan zaprowadzi do pokoju Gustawa Bedand.

Dyrektor wyszedł. Ale w chwili opuszczenia pokoju pan Lenormand nachylił się i podniósł małe kółko papieru, które wzrok jego już dawniej zauważył.

Była to etykietka z niebieską obwódką, a na niej była cyfra 813. Na wszelki wypadek wsunął to do swego portfelu i przyłączył się do reszty.

IV.

Wąska ranka na plecach, pomiędzy łopatkami...

Lekarz wydał orzeczenie:

— Zupełnie taka sama rana, jak u pana Kesselbacha.

— Tak — zauważył pan Lenormand — to ta sama ręka cios zadała i ta sama broń tu służyła.

Sądząc po pozycyi trupa, człowieka tego zaskoczono, gdy klęczał przed swojem łóżkiem i szukał pod materacem ukrytej tam papierośnicy. Ręka wsunięta jeszcze była pomiędzy materac a spód łóżka, papierośnicy jednakże już tam nie znaleziono.

— Musiał to być przedmiot strasznie kompromitujący — podsunął pan Formerie, który już nie śmiał wygłaszać zbyt ściśle określonego zdania.

— Sądziłbym! — mruknął szef bezpieczeństwa.

— Ale znamy pierwsze litery: L i M. A wobec tego zważywszy, co pan Chapman zdaje się wiedzieć, będziemy się mogli łatwo zoryentować.

Pan Lenormand drgnął.

— Chapman! Ależ gdzie Chapman?

Zajrzano na korytarz, gdzie skupiały się gromadki ludzi. Chapmana wśród nich nie było.

— Pan Chapman mi towarzyszył — oświadczył dyrektor.

— Tak, tak, ja wiem, ale nie zeszedł razem z panem.

— Nie, ja go pozostawiłem przy trupie.

— Zostawiłeś go pan! samego?...

— Powiedziałem mu: „Niech pan tu zostanie, niech się pan stąd nie rusza“.

— I nikogo tam nie było? nikogo pan nie widziałeś?

— W korytarzu nie było nikogo.

— Ale w sąsiednich komórkach strychowych... albo tam za zakrętem... czy nikt tam się nie krył?

Pan Lenormand był wielce poruszony. Chodził tam i napowrót, otwierał drzwi pokoi. I nagle zaczął biedz z szybkością, o którą trudnoby go kto posądził.

Zbiegł sześć pięter, a za nim w odstępie podążał dyrektor i sędzia śledczy. Na dole przed główną bramą odnalazł Gourel'a.

— Czy nikt nie wychodził?

— Nikt.

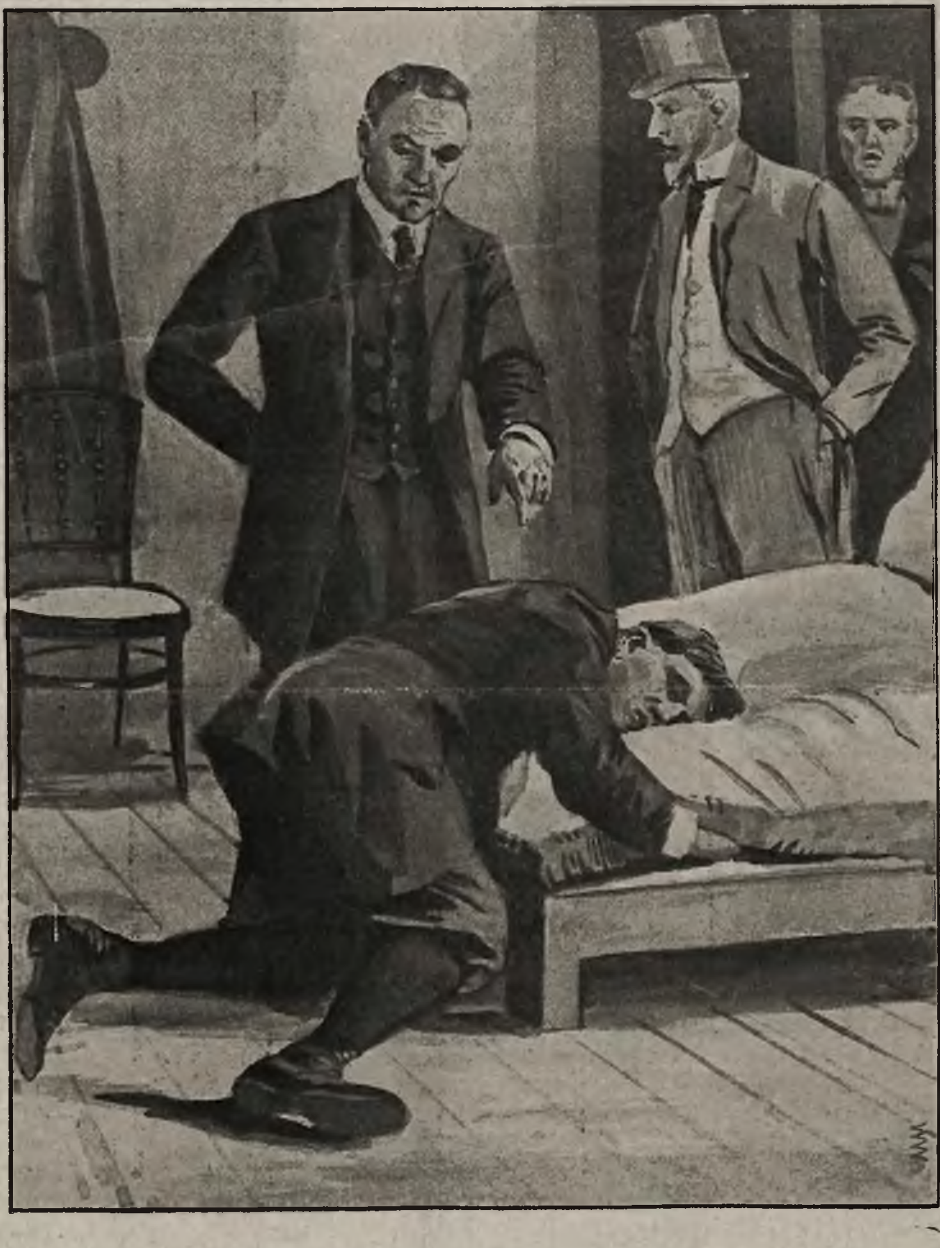
— A z drugiej bramy, na ulicę Orvieto?

— Postawiłem tam Diensy'ego na straży.

— Z wyraźnemi instrukcyami?

— Tak, panie szefie.

W wielkiem *hall* hotelowem tłum podróżnych cisnął się niespokojnie, komentując mniej i więcej ściśle wersye, jakie go dochodziły o zbrodni. Cała służba, zwołana telefonem, schodziła się po kolei. Pan Lenormand wypytywał ich zaraz.



Wąska ranka na plecach pomiędzy łopatkami...

Nikt z nich nie umiał dać żadnych wyjaśnień. Jednakże stawiła się pokojowa z piątego piętra. Ta, może na dziesięć minut przedtem, minęła się z dwoma panami, którzy schodzili służbowymi schodami pomiędzy piątem a czwartem piętrem.

— Schodzili bardzo prędko. Pierwszy prowadził drugiego za rękę. Zdziwiło mnie to, że widzę tych dwóch panów na służbowych schodach.

— Czy mogłabyś ich poznać?

— Tego, który szedł pierwszy, nie poznałabym. Odwracał głowę. Szczupły, blondyn. Miał czarny, miękki kapelusz na głowie, a na sobie czarne ubranie.

— A drugi?

— Ach, tamten, to był Anglik, o tłustej twarzy, zupełnie ogolonej i w ubraniu w kratki. Szedł z gołą głową.

Rysopis był najoczywiściej rysopisem Chapmana. Dziewczyna dodała:

— Wyglądał... wyglądał dziwnie... miał taką minę, jak gdyby zwaryował.

Zapewnienie Gourela nie wystarczyło panu Lenormandowi. Wypytywał kolejno groomów, którzy stali przy obu bramach.

— Znaliście pana Chapmana?

— Tak, proszę pana. On zawsze z nami rozmawiał.

— I nie widzieliście, czy wychodził?

— O, co nie, to nie. Dziś rano wcale nie wyszedł.

Pan Lenormand zwrócił się do komisarza policyi.

— Ilu ludzi masz pan tu, panie komisarzu?

— Czterech.

— To mało. Niech pan zatelefonuje do swego sekretarza, żeby panu przysłał wszystkich, których ma do dyspozycyi. I zechciej pan sam zorganizować jak najściślejszy nadzór nad wszystkiemi wyjściami. Stan oblężenia panie komisarzu...

— Ależ ostatecznie, moi klienci... — zaprotestował dyrektor hotelu.

— Co tam pańscy klienci, mój panie... Mój obowiązek ważniejszy nad wszystko, a moim obowiązkiem jest aresztować za wszelką cenę.

— A więc pan przypuszcza... odważył się sędzia śledczy.

— Ja nie przypuszczam, ja jestem pewien, że sprawca podwójnego morderstwa znajduje się jeszcze w hotelu...

— A więc Chapman...

— W danej chwili nie ręczę za to, czy Chapman jeszcze żyje. W każdym razie tu o minuty, może o sekundy chodzi... Gourel bierz dwóch ludzi i przetrząśnij wszystkie pokoje na czwartem piętrze... Panie dyrektorze, niech mu jeden z pańskich urzędników towarzyszy. Na inne piętra pójdę, gdy nam przyjdą posiłki. Dalej Gourel, idź, szukaj, a otwieraj dobrze oczy... To gruba zwierzyna...

Gourel i jego ludzie żwawo poszli do roboty. Pan Lenormand został w *hall'u* i w pobliżu biur zarządu. Tym razem, wbrew zwyczajowi, nie myślał siadać. Chodził od głównego wyjścia do wyjścia na ulicę Orvietto i znowu wracał, skąd przyszedł.

Od czasu do czasu wydawał rozkazy.

— Panie dyrektorze, proszę kazać pilnować w kuchniach, możnaby uciec tamtędy...

— Panie dyrektorze, niech pan poleci pannie przy telefonie, żeby odmawiała połączenia komukolwiek z hotelu, ktoby chciał telefonować do miasta. Gdyby kto telefonował z miasta, niech go połączy z osobą wezwaną, ale niech zanotuje nazwisko osoby.

— Panie dyrektorze, niech pan każe sporządzić listę gości, których nazwisko zaczyna się od L., albo od M.

Mówił to wszystko głosem donośnym, jak jenerał, rzucający adjutantom rozkazy, od których zależeć ma los bitwy.

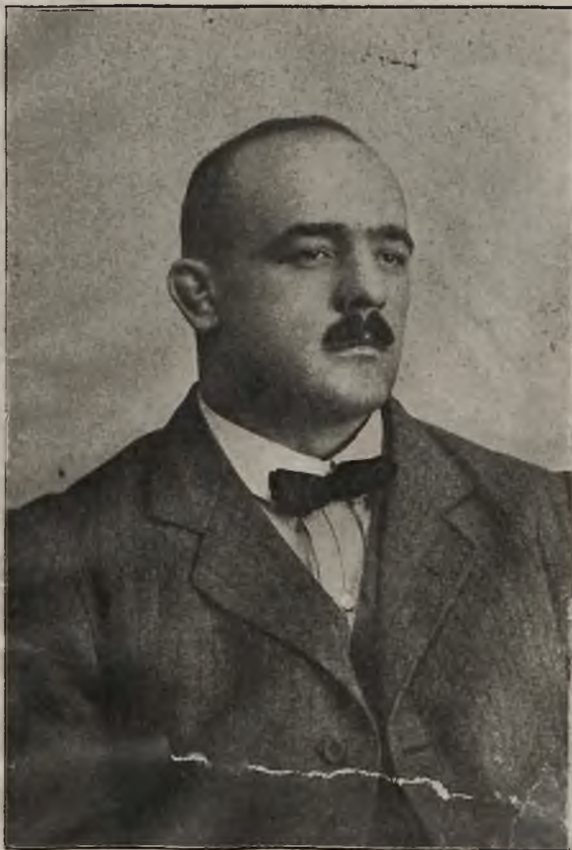
I była to istotnie straszna i zażarta bitwa, która w ramach eleganckiego paryskiego hotelu toczyła się pomiędzy potężną osobistością, jaką jest szef służby bezpieczeństwa publicznego, a tem tajemniczem indywiduum — ściganem, śledzonem, już nieledwie uwięzionem, a tak groźnem, bo dzikiem i chytrze podstępnem.

Trwoga ogarniała widzów, skupionych w milczeniu w pośrodku *hall'u*, dyszących, drżących ze strachu na najlepszy odgłos, prześladowanych piekielną wizyą mordercy. Gdzie on się ukrywać może? Czy się ukaże? A może jest w pośród nich? Może to ten?... A może tamten?

Nerwy tak były napięte, że odruchem buntu byliby drzwi wyłamali i wyszli na ulicę, gdyby nie obecność Władcy. Ale on tam był, a sama obecność jego uspakajała i dodawała otuchy. Spływało od niego na nich poczucie bezpieczeństwa, jak na załogę statku, w którym dowodzi dzielny kapitan.

To też oczy wszystkich goniły za tym starym siwym panem w okularach, w surducie oliwkowym i brązowym futrze, który przechadzał się zgarbiony, na niepewnych nogach.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Fot. St. Miętus, Ameryka.
Tryumfy Cyganiewicza w Ameryce: Stanisław Cyganiewicz-Zbyszko.

Tryumfy Cyganiewicza w Ameryce.

Znakomity atleta polski, Stanisław Cyganiewicz-Zbyszko, bawi od jesieni ubiegłego roku w Ameryce, gdzie występy jego i współudział w zapasach z najwybitniejszymi amerykańskimi siłaczami budzi niesłychany, u nas wprost niezrozumiały entuzyazm i podziw. W występach i zapasach towarzyszy Cyganiewiczowi nadzwyczajne powodzenie, zwycięża bowiem jednego po drugim najgłośniejszych tamtejszych zapaśników, zbierając nietylko laury i sławę ale i dolary.

Zapasy amerykańskie różnią się zasadniczo od tych, jakie przywykliśmy u nas widywać. Nie opierają się bowiem na prawidłach walki tzw. grecko-rzymskiej, lecz dopuszczają wszelkich możliwych chwytów. Oczywista rzecz, że styl amerykański jest wobec tego bardzo brutalny, niejednokrotnie też zapaśnicy wychodzą z walki w straszliwy sposób pokaleczeni i poranieni. Tak się n. p. skończyło spotkanie między słynnym, niepokonanym dotąd Fränkem Gotschem a Hackenschmidem z Europy, który odniósł kilkadziesiąt ran w ciągu przeszło dwugodzinnej walki.

Publiczność amerykańska lubuje się atoli w tego rodzaju widowiskach i z nadzwyczajnem roznamiętnieniem śledzi przebieg zapasów, biorąc w nich ogromnie żywy udział. To też przyjazd Cyganiewicza, w Ameryce poprzednio nieznanego, wnet jednak wsławionego kilku pierwszymi sukcesami, wywołał w kołach szerokich olbrzymie zainteresowanie, które rosło w miarę powodzenia i zwycięstw Zbyszka.

Polacy amerykańscy przyjęli swego sławnego rodaka z otwartemi ramionami, a po pierwszych jego występach, uwieńczonych tak nadzwyczajnymi sukcesami, nie szczędzili mu najbardziej jaskrawych dowodów uznania i wdzięczności za pokonanie amerykańskich siłaczów.

Jak dotąd, nie pokonał nikt Cyganiewicza, choć walczyło z nim po rozmaitych miastach amerykańskich przeszło 100 zapaśników, w tem około 30 pierwszorzędnych. Zbyszko pokonał wszystkich w bardzo krótkim czasie, czem zwłaszcza zdobył odrazu sympatyę nietylko rodaków ale i Amerykanów.

Największe zainteresowanie budzi zapowiedziane ostatecznie na ostatnie dni maja spotkanie z niepokonanym dotąd championem światowym, sławnym Fränkem Gotschem. Obaj przeciwnicy przygotowują się pilnie do zbliżającego się matchu, obiecując sobie nawzajem zwycięstwo. Polacy są pewni, iż Zbyszko nietylko nie ulegnie Gotschowi, ale go pokona, Amerykanie zaś liczą pewnie na zwycięstwo Gotscha.

Spotkanie między Gotschem a Cyganiewiczem ma nastąpić w Chicago, na otwartej arenie, gdzie pomieścić się może przeszło 100 tysięcy widzów.

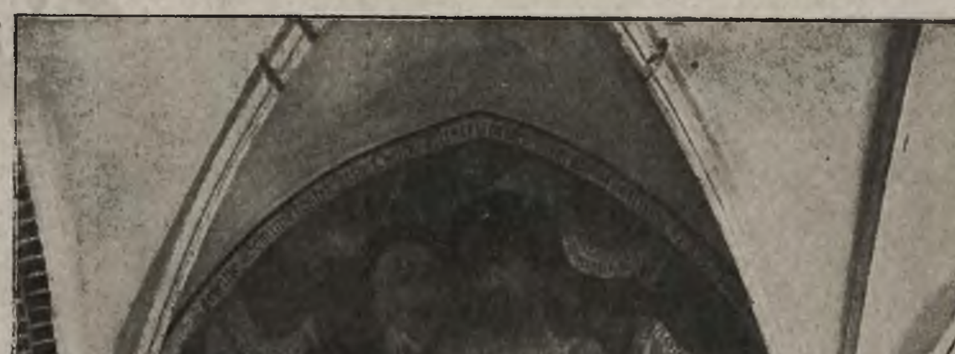
Z okazyi mającego nastąpić spotkania dwu głośnych siłaczów, zamieszczamy szereg zdjęć z Ameryki, nadesłanych nam uprzejmie przez przebywającego tem obecnie byłego kupca krakowskiego, p. St. Miętusa.



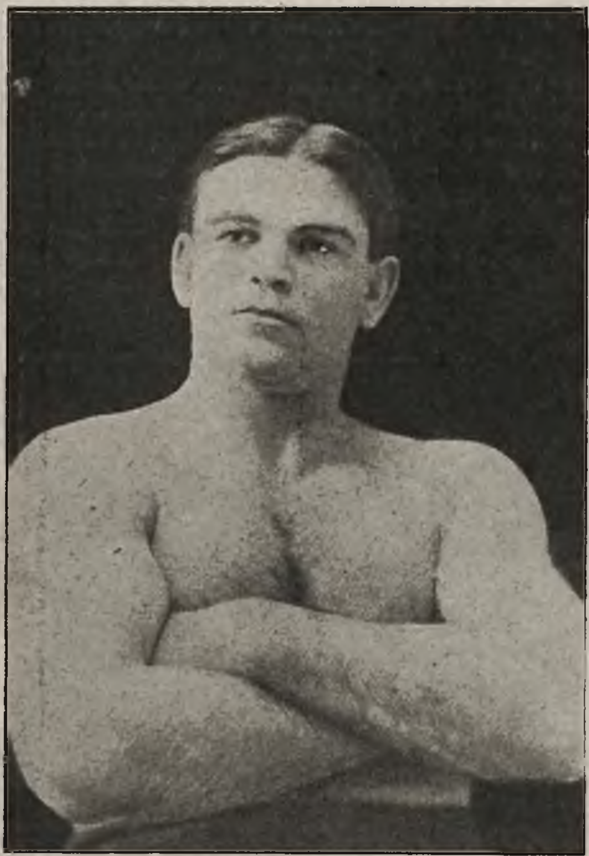
Fot. St. Miętus, Ameryka.
Tryumfy Cyganiewicza w Ameryce: Zbyszko-Cyganiewicz w gronie przyjaciół Polaków w Ameryce. Stoją: Pawłowski, Specht i St. Miętus.



Restauracya kościoła św. Katarzyny w Krakowie: Obraz nad wejściem do kaplicy św. Doroty, przedstawiający św. Augustyna z zakonnikami.



Restauracya kościoła św. Katarzyny w Krakowie: Fragment krużganku z starodawnem malowidłem, przedstawiającem Chrystusa w studni.



Tryumfy Cyganiewicza w Ameryce: Groźny przeciwnik Cyganiewicza Frank Gotsch.



Tryumfy Cyganiewicza w Ameryce: Zapasy Zbyszka z amerykańskim siłaczem.

Restauracya kościoła Św. Katarzyny w Krakowie.

Kościół św. Katarzyny należy do najstarszych a zarazem najpiękniejszych świątyń w Krakowie. Ząb czasu wyrył swe piętno na murach tej gotyckiej świątyni, którą znawcy uznali za jeden z najwspanialszych monumentów gotyckich w naszem mieście. Czego nie zniszczył ząb czasu, tego dokonali ludzie. Zamknięty po trzęsieniu ziemi w r. 1786 kościół, został z chwilą objęcia Krakowa przez wojska austryackie, zamieniony na magazyn wojskowy. Zniszczenie postępowało w szybkiem tempie. W przepięknych filarach porobiono otwory dla belek, podtrzymujących piętro magazynowe, brak sklepienia i zniszczone dachy, grożące lada chwila zawaleniem, smutnie świadczyły o nastaniu innych, gorszych czasów, które świątyni, ufundowanej w wieku XIV. przez Kazimierza Wielkiego, groziły zupełną zagładą i zniszczeniem. Senat rzeczypospolitej krakowskiej w r. 1827 nosił się z myślą zburzenia kościoła, a zamieszkującym klasztor Augustyanom zaproponował nawet przeniesienie się do budynku po zniesionym zakonie Ks. Marków. Dopiero sejm zajął się tą świątynią i obmyślił fundusze na restauracyę dachów i sygnaturki. Rozpoczęcie i przeprowadzenie robót restauracyjnych we wnętrzu kościoła zawdzięcza społeczeństwo członkom zakonu św. Augustyna i ich przełożonemu śp. Bonawenturze Swięczakowi, który pierwszy zajął się gorliwie restauracyą kościoła. Śladem wyż wspomnianego przeora poszli następni przełożeni klasztoru a także i obecny przeor ks. Grzegorz Uth kontynuuje chwalebne dzieło, rozpoczęte przez jego poprzedników.

Obecnie prowadzą się roboty nad restauracyą kaplicy św. Doroty, będącej przykładem wzorowego gotyku. Dzięki nowoczesnej technice zdołano w stropie kaplicy położyć żelazne trawersy, które umożliwią usunięcie ścian bocznych kaplicy, pochodzących z późniejszych czasów i zasłaniających piękne filary gotyckie, na których dawniej strop spoczywał.

Na szczególną uwagę zasługują obrazy ścienne w odrestaurowanych krużgankach, będące dowodem, jak wysoko stało u nas malarstwo cechowe w XV. wieku. Jeden z nich wyobraża Pana Jezusa w studni i pod względem artystycznym przedstawia wysoką wartość. Drugi obraz ścienny, znajdujący się ponad wejściem do kaplicy św. Doroty, przedstawia św. Augustyna, dającego reguły zakonnikom. Jest on mniej udany od poprzedniego, ale jeśli się uwzględni, że to jest dzieło malarstwa cechowego w XV. wieku, musimy przyznać, że zdradza wielki talent autora tego obrazu.

Należy się spodziewać, że obecny przeor ks. Grzegorz Uth z biegiem czasu zdoła prace restauracyjne koło kościoła daleko doprowadzić.



Restauracya kościoła św. Katarzyny w Krakowie: Odkrycie obmurowanego filara, podtrzymującego sklepienie kaplicy.

Zgon prezydenta murzyńskiego.

Mała republika murzyńska na wyspie antylskiej Haiti, należy do bardzo w świecie głośnych z powodu częstych morderstw politycznych i rewolucyi, jakie się tam rozgrywają. W czarnem tem, maleńkiem mocarstwie, powtarzają się rewolucye niemal stale co siedm lat, t. j. wówczas, gdy się odbywają wybory prezydenta. Żądni władzy murzyni staczają namiętne i zaciekłe walki o utrzymanie względnie zdobycie wpływu na rządy republiki i w walkach tych nie cofają się przed żadnymi środkami.

Przed kilku dniami, jak doniosły depesze, zmarł jeden z najwybitniejszych przedstawicieli tej murzyńskiej republiki i były jej prezydent, generał Nord-Aleksis. Był to człowiek, który w dziejach wyspy Haiti odegrał bardzo wybitną rolę i do ostatnich lat życia, choć liczył blisko 90 lat, nie przestał brać czynnego udziału w walkach politycznych kraju. Przed dwoma laty, kiedy był jeszcze prezydentem republiki, uknuto spisek przeciw niemu, spisek jednak wykryto przed czasem i udaremniono. Generał Nord-Aleksis nie cieszył się wśród szerokich mas ludności sympatyą, był bowiem człowiekiem bardzo surowym a nawet okrutnym.



Zgon prezydenta murzyńskiego: Zmarły generał Nord-Aleksis.

Odznaczenie strażaków.

Przed kilku dniami odbyła się w Samborze uroczystość wręczenia honorowych odznak związkowych i rządowych siedmiu członkom tamtejszej straży pożarnej za wieloletnią, nieprzerwaną i wierną służbę w obronie mienia i życia współobywateli.

Odznaczeni zostali pp. Józef Gendziński za 40 lat służby, Marcin Rychlewski za lat 35, Franciszek Rachwał i Antoni Poliszczuk za lat 25, a Stanisław Gospodarek, Michał Wojtowicz i Ignacy Stebnicki za lat 20.

Uroczystość strażacka rozpoczęła się solennem nabożeństwem w miejscowym kościele parafialnym, poczem członkowie straży pożarnej miejskiej i ochotniczej pomaszerowali w pochodzie przed koszary straży samborskiej. Tam ustawili się wszyscy w sze-

gdyż choroba sercowa podcięła jej organizm. Zmarła wreszcie dnia 18 maja w Grodnie na Litwie.

Cześć jej pamięci!

Z wystawy łowieckiej w Wiedniu.

Otwarta w pierwszych dniach maja pierwsza międzynarodowa wystawa łowiecka, cieszy się od samego początku bardzo wielkiem powodzeniem. Jest to bowiem pierwsze istotnie tego rodzaju przedsiębiorstwo, na bardzo szeroką zakreślone skalę i dające pełny obraz rozwoju łowiectwa w całym świecie. Jak już w poprzednim numerze wspominaliśmy, wystawę obesłały prócz ludów, wchodzących w skład monarchii austryacko-węgierskiej, prawie wszystkie kraje europejskie oraz wiele pozaeuropejskich. Nic dziwnego więc, że wystawa podoba się ogólnie, gdyż jest na niej bardzo wiele rzeczy istotnie oryginalnych i interesujących.

Wiedeńczycy zresztą sami kochają sport myśliwski, który też stoi tam bardzo wysoko, dzięki temu, że okolice Wiednia nadają się nadzwyczajnie do polowań, we wszystkich bowiem stronach górzystych i lesistych pełno tam zwierzyny. Od dawien dawna polowania w Wiedniu miały licznych zwolenników, którzy jednak rekrutowali się przeważnie ze sfer arystokratycznych. Dopiero w ostatnich latach i ten sport zdemokratyzował się i stał się dostępnym najszerszym kołom ludności.



Z wystawy łowieckiej w Wiedniu: Pawilon węgierski.

Wyrazem zamiłowania Wiedeńczyków do łowiectwa jest spora ilość stowarzyszeń myśliwskich, istniejących w Wiedniu. Najpoważniejsze wśród nich, Wiedeński klub myśliwski, postanowił przed paru laty urządzić w 80 rocznicę urodzin cesarza, znanego miłośnika sportu myśliwskiego, międzynarodową wystawę łowiecką. Wystawa obecna jest właśnie owocem starań i zabiegów wspomnianego klubu myśliwskiego.

Wystawa łowiecka mieści się w Praterze, grupując się w szeregu pięknych pawilonów wokoło rotundy. Najliczniej i najbogaciej reprezentowane są oczywiście kraje austryackie, z których część ma osobne pawilony, część zaś pomieściła swe okazy w pawilonie wspólnym.

Obok zamku myśliwskiego, zbudowanego zupełnie ściśle na wzór zamku myśliwskiego cesarza w Mürzsteg, podoba się nadzwyczajnie pawilon węgierski, nas zaś interesuje między innymi domek huculski z całą zagrodą.

Komitet, urządzający wystawę, postarał się także o szereg atrakcyi prawdziwie egzotycznych, jak n. p. wieś murzyńska, dalej rozmaite rozrywki i t. d. Powodzenie więc pięknej i oryginalnej wystawy zapewnione.

Jak zaś komitet umiał zjednać sobie protekcyę władz rządowych dla swego przedsiębiorstwa i jak te władze gorliwie idą na rękę przedsiębiorstwom wiedeńskim, popierając je na każdym kroku, dowodem to, iż na cały czas trwania wystawy zaprowadzono na liniach kolejowych, prowadzących do Wiednia, znaczne zniżki cen biletów jazdy, aby najszerszym kołom ludności umożliwić zwiedzenie wystawy.

Olbrzymie korzyści wyciągnie stąd i samo miasto Wiedeń, gdyż wzrośnie nadzwyczajnie ruch w mieście, wzrośnie napływ obcych a tem samem sporo gotówki wpadnie do kas kupców i przedsiębiorców tamtejszych. Zapobiegliwość Wiedeńczyków winna stanowić wzór i dobry przykład dla nas.



Z wystawy łowieckiej w Wiedniu: Dom huculski.

regach, a burmistrz miasta i prezes ochotniczej straży samborskiej, dr. Józef Steuermann, przemówił w gorących słowach do jubilatów, podnosząc ich zasługi i wytrwałość w długoletniej służbie strażackiej oraz prosząc o dalsze współdziałanie w tej szlachetnej, obywatelskiej pracy. W dalszym ciągu swej pięknej mowy zwrócił się dr. Steuermann do zebranych uczestników uroczystości i kreśląc wymownie doniosłe znaczenie instytucyi straży pożarnych, użytecznej nie tylko dla danej miejscowości ale dla całego kraju i całego społeczeństwa, stawił im jubilatów za wzór, godny naśladowania.



Zgon znakomitej autorki polskiej: Ś. p. Eliza Orzeszkowa.

Po przemówieniu, które na wszystkich uczyniło bardzo duże wrażenie, przypiął burmistrz dr. Steuermann jubilatom przyznane im odznaki, a następnie zaprosił do gmachu koszar na skromne przyjęcie, w czasie którego wygłoszono jeszcze kilka mów i pięknych toastów.

Zgon znakomitej autorki polskiej.

Ciężkim, bolesnym ciosem dotknęła Opatrzność społeczeństwo polskie i polską literaturę. Ciosem tym śmierć Elizy Orzeszkowej, znakomitej powieściopisarki, której utwory cieszyły się zawsze ogromnem wzięciem i popularnością.

Eliza z Pawłowskich Orzeszkowa urodziła się 1842 r. w Milkowszczyźnie w gubernii grodzieńskiej. Jako młoda, 17-letnia panienka wyszła za mąż za zamożnego, znacznie od niej starszego obywatela ziemskiego, Piotra Orzeszkę. Pożycie jej małżeńskie było nieszczęśliwe i trwało tylko 6 lat, gdyż po tym czasie Orzeszkowa powróciła do domu rodzicielskiego, a następnie osiadła w Grodnie. Tam, po śmierci męża, poślubiła adwokata Nahorskiego.

Po rozstaniu się z pierwszym swym mężem rozpoczęła Orzeszkowa zawód literacki, ogłaszając pierwsze utwory w „Tygodniku illustrowanym“. Utwory te oraz pierwsze powieści „Pamiętnik Wacławy“ i „Pan Graba“, w których młoda autorka poruszyła śmiało zagadnienia z kwestyi kobiecej i wychowania, zwróciły uwagę czytającej publiczności na śp. Orzeszkową, to też poczytność jej dalszych powieści wzrastała bardzo szybko.

Pojawiały się też coraz liczniej nowe dzieła cenionej już wówczas autorki. Więc satyryczna powieść „Pompalińscy“, dalej znany powszechnie „Meir Ezofowicz“ i „Eli Makower“, w których poruszała kwestyę żydowską, traktując ją bardzo życzliwie, dalej „Pajęczyna“, „Marta“ i inne.

Największą wartość artystyczną i społeczną mają jednak powieści Orzeszkowej, osnute na tle życia polsko-litewskiego. Między temi „Cham“, „Bene nati“, „Nad Niemnem“, „Argonauci“ — największą zdobyły popularność i stanowią dotąd ulubioną lekturę młodych pokoleń.

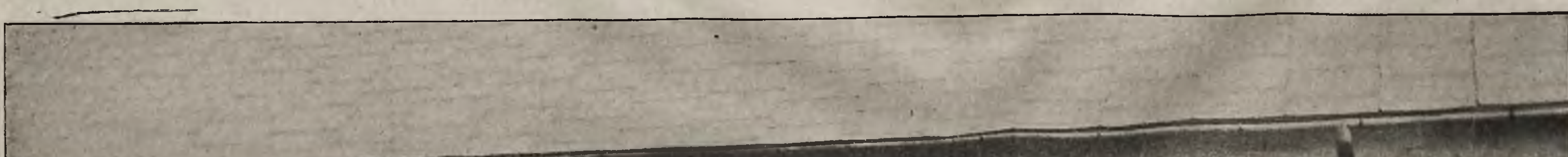


Po zgonie króla Anglii: Pałac krolewski Buckingham w Londynie. 1 i 2 okna sypialni Edwarda VII, w której zakończył życie; 3 pokój królowej Aleksandry.

Zalety powieści Orzeszkowej były liczne i cenne. Autorka znała na wskróś społeczeństwo polskie, znała jego zalety i wady, umiała też postaciom swoich powieści dać wiele życia i prawdy. Tendencye autorki były zawsze szczytne i górne, to też wpływ utworów Orzeszkowej na czytelników mógł być tylko dodatni.

Przed paru laty święciło społeczeństwo polskie uroczyście jubileusz jej czterdziestoletniej pracy literackiej. Wydano też wówczas zbiór jej wszystkich utworów, pomieszczonych w 44 tomach.

W ostatnich latach Orzeszkowa umilkła prawie,



Fot. „Rembrandt“, Sambor.

Odznaczenie strażaków: Uroczyste przypięcie odznak honorowych siedmiu strażakom-jubilatom w Samborze.

K. A. GREEN.

KTO MORDERCĄ?

19

„Sprowadziłem ją na dół do gościnnego pokoju i tam opowiedziałem jej wszystko, starając się stopniowo przygotować do tego, co stało się z masterem Lavenfortem.

Bardzo się tem przejęła i przestraszyła, ale i tym razem nie krzyknęła, patrzyła tylko na mnie z niemem zapytaniem w oczach. Powiedziałem jej, że nie wiem, kto jest zabójcą, lecz jeżeli dowiedzą się, że widziała mnie na schodach z kluczem od biblioteki w rękach, to podejrzenie o to zabójstwo może paść na mnie.

— Lecz ja przecież nikomu tego nie powiem— szepnęła, drżąc ze strachu i wzruszenia — daję panu słowo, że nikomu o tem ani słówkiem nie wspomnę.

Przestrzegłem ją jednak, że nie będzie w stanie milczeć, gdy ją będą badali na śledztwie i że najlepiej będzie, jeżeli opuści ten dom i do czasu, póki wszystko nie powróci do normalnego trybu, nie będzie się nikomu pokazywała na oczy. Pomimo mych przekonywań nie chciała z początku zgodzić się na tę natychmiastową ucieczkę. Dopiero, gdym jej przyrzekł, że ożenię się z nią, przystała na mą prośbę.

— Mogę ukryć się u pani Belden, w miejscu kąpielowem w R. — rzekła mi — przyjmie mnie ona z pewnością, zwłaszcza jeżeli jej powiem, że przysłała mnie miss Mary... Lecz dzisiaj w nocy nie będę mogła tam się dostać.

Zacząłem jej wobec tego dowodzić, że bez żadnych przeszkód może się jeszcze dzisiejszej nocy tam udać; ostatni pociąg odchodził o dwunastej w nocy, pozostawało więc jeszcze do odejścia całe pół godziny, a na przebycie drogi do dworca nie potrzeba było więcej, jak kwadrans czasu. Gdy mi odrzekła, że nie ma pieniędzy, wręczyłem jej pośpiesznie potrzebną sumę i wytłómaczyłem, jakiemi ulicami może najprędzej dojść do dworca kolejowego. Ciągle się jeszcze wahała, wkońcu jednak udało mi się namówić ją i razem zeszliśmy po schodach.

Na dole znaleźliśmy kapelusz i chustkę kucharki; dałem jej jedno i drugie i w minutę potem byliśmy już na dworze.

— Pamiętaj, że choćby nie wiem jak starali się ciebie wybadać, nie powinnaś ani słowem wspominać o tem, coś dzisiaj widziała — temi słowami ją pożegnałem.

— Pamiętaj i ty, żeś przyrzekł się ze mną ożenić — wyszeptała, starając się mnie pocałować.

Przy tym ruchu zapewne upuściła na ziemię ogarek świecy, który trzymała w rękach. Obiecałem jej wszystko, poczem szybko wybiegła z dziedzińca.

Dziwne wzruszenie, jakiego przy tem wszystkiem doznałem, tak mnie rozstroiło, iż popełniłem drugi, gruby błąd, bo nie tylko zamknąłem po wyjściu Dżen zewnętrzne drzwi, lecz zapomniałem także pozbyć się klucza od biblioteki, który nosiłem ciągle w kieszeni. Niebezpieczeństwo, którego szczęśliwie przed chwilą uniknąłem, było tak wielkie, iż teraz już utraciłem zupełnie możność swobodnego myślenia. Przed oczami memi miałem bezustannie bladą twarz przestraszonej Dżen, wobec której na drugi plan zeszła nawet myśl o tym, kogo dopiero co zabiłem.

Przejmowała mnie także obawa, iż może nie trafiła na dworzec i zabłąka się, i gdy jutro rano wyjdę na ulicę, znajdę ją na schodach przed domem. Nie mniej też niepokoiło mnie i to, iż klucz i papiery miałem ciągle jeszcze przy sobie. Jak się ich pozbyć? Z obawy, by mnie kto nie zobaczył, nie śmiałem nie tylko wyjść z pokoju, lecz nawet otworzyć okna.

Mimo to konieczność zaradzenia temu była tak wielka, iż zdecydowałem się przystąpić natychmiast do działania. List, napisany przez mastera Lavenforta do notaryusza, wziąłem do ust i zżułem go na papkę, którą potem wyplułem do kąta. Na drugim jednak liście była krew i nawet strach o własne bezpieczeństwo nie mógł mnie skłonić do tego, bym listu tego dotknął się ustami.

Leżąc na poły rozebrany na łóżku, ściskałem go nerwowo w ręku i czekałem, aż zacznie świtać. Z brzaskiem dnia w duszy mej zrodziła się nadzieja. Stałem się daleko spokojniejszym i odzyskałem panowanie nad sobą. Nie męczyło mnie już nawet pytanie o to, co zrobić ze znajdującymi się u mnie rzeczowymi dowodami mej zbrodni. Postanowiłem nie niszczyć ich wcale, lecz w stosownej chwili rzucić je gdziekolwiek w domu, co — jak sobie wyobrażałem — mniejsze wzbudzi podejrzenie. List porwałem na kilka drobnych kawałków, poczem wszedłem do sąsiedniego, niezajętego pokoju i wrzuciłem do znajdującej się tam wazy porcelanowej. Następnie udałem się na górę do biblioteki, aby wsunąć nieznacznie klucz do zamku, przeszkodziła mi jednak w tem miss Eleonora, która szła za mną po schodach. Wobec tego powiesiłem klucz w korytarzu na gazowej lampie i z najobojętniejszą miną poszedłem spokojnie do jadalnego pokoju na śniadanie.

Znajdowała się już tam blada i zakłopotana Mary i rzecz dziwna — wzrok jej zatrzymał się tym razem na mnie, choć tylko przez chwilę. Omal nie uśmiechnąłem się na myśl, że dzięki mnie pozbyła się teraz na zawsze wszelkich kłopotów i że zasłużyłem sobie przez to na nagrodę, którą bez wątpienia otrzymam od niej we właściwej porze.

Nie będę opowiadał tutaj, w jaki sposób wykryto tę zbrodnię i jaką rolę ja przy tem odgrywałem. Zachowywałem się tak, jak gdybym w najmniejszej mierze nawet nie należał do tej sprawy. Byłem przekonany, że nawet i cień podejrzenia nie może paść na mnie: czyż mógłby kto przypuszczać, że skromny, pracowity sekretarz zakochał się w bratanicy swego pryncypała, którego zabił dla niej i w ten sposób pozbył się pewnego kawałka chleba? Spełniłem bez zarzutu wszystko, co winien byłem w takiej chwili uczynić, zawiadomiłem o wypadku policyę i dałem zaraz znać o wszystkiem panu Beleyowi. Postępowałem jednem słowem tak, jak gdyby wszystko, co stało się tej nocy, było raczej snem, niż rzeczywistością.

Myśląc jednak tylko o własnem bezpieczeństwie, nie zwróciłem na nieszczęście uwagi na to, że podejrzenie o to zabójstwo może paść na Mary, jako na jedyną osobę, która odnosiła znaczne korzyści ze śmierci swego stryja. Gdy wreszcie przekonałem się o zupełnej możliwości takiego przypuszczenia, tak się tem zmieszałem, iż bez żadnej potrzeby wspomniałem podczas śledztwa o tem, iż poprzedniego dnia wieczorem słyszałem koło swych drzwi na korytarzu szelest kobiecych sukien.

Podejrzenia padły na Eleonorę, ponieważ jednak wiedziałem, że nie mogła mieć najmniejszej styczności z tą sprawą, nabrałem przekonania, że podejrzenia te będą musiały wkrótce upaść. Lecz coby było z Mary, gdyby podejrzenia skierowały się przeciw niej?... Do czegoby to doprowadziło?

W nadziei, że jeszcze będę miał możność naprawić swe błędy, zacząłem składać fałszywe zeznania. Powiedziałem, że między stryjem a jedną z jego bratanic wynikły w ostatnich czasach nieporozumienia — wymieniłem jednak przy tem imię Eleonory. Utrzymywałem oprócz tego, iż master Lavenfort nie otrzymywał żadnych listów, które mogłyby choć w części wyjaśnić tę zagmatwaną sprawę.

Następstwa tego okazały się bardziej doniosłemi, niż przypuszczałem. Coraz to nowe przybywające poszlaki ugruntowały pierwiastkowe podejrzenia. Wyszło na jaw, iż master Lavenfort został zabity nie tylko ze swego własnego rewolweru i przez osobę, zamieszkałą w tym domu, lecz ponadto zmuszony byłem wyznać, iż Eleonora prosiła mnie na krótki czas przedtem, bym pokazał jej, jak się nabija i strzela z rewolweru. Musiały się wmieszać do tej sprawy chyba piekielne moce, jeżeli zaszedł podobny zbieg okoliczności.

Gdy zdałem sobie z tego wszystkiego sprawę, owładnął mną niezmierny strach na myśl, co powiedzą na śledztwie obydwie panny. Co będzie, jeżeli Mary wyzna naraz, że po wyjściu jej od stryja, spotkałem ją na schodach, jak schodziła do biblioteki? Co będzie, jeżeli nie ukryje tego, że rozmawiała z nim i błagała go, by jej nie wydziedziczał? Co wtedy będzie? Strach, jaki wtedy przeżywałem, przyprawiał mnie prawie o szaleństwo.

W tym czasie jednak zaszły zdarzenia, o których nie miałem najmniejszego pojęcia, a które wpłynęły na zachowanie się obydwóch kuzynek.

Eleonora nie tylko podejrzewała swą stryjeczną siostrę o to zabójstwo, lecz powiedziała jej to nawet wprost w oczy. Mary tak się tem przestraszyła, iż postanowiła zaprzeczać wszystkiemu, coby mogło choć najmniejszy cień rzucić na nią. Liczyła zapewne przy tem na to, iż Eleonora wspaniałomyślnie nie będzie jej przeczyła. Jak wiadomo, nie omyliła się w swych rachubach. Eleonora nie tylko z własną szkodą nie sprzeciwiała się temu, co mówiła jej kuzynka, lecz nawet odmawiała odpowiedzi w tych wypadkach, gdy zeznania jej byłyby niekorzystne dla Mary. Kłamać zaś nie była w stanie, nawet gdyby potrzeba było tego dla ocalenia najdroższej dla niej osoby. Takie szlachetne postępowanie wywarło na mnie wielkie wrażenie. Patrzyłem na nią z zachwytem i byłem gotów uczynić wszystko, byle tylko uwolnić ją od podejrzeń, ale aby przytem nie zaszkodzić i sobie. W czasie śledztwa okazało się, że nam wszystkim grozić będzie prawdziwe niebezpieczeństwo, dopóki w domu znajdować się będzie ten nieszczęśliwy klucz i list.

Przedtem jeszcze, zanim przyniesiono tę zawalaną prochem chustkę, postanowiłem zniszczyć jedno i drugie, gdy jednak wniesiono już na salę ten dowód, taki mnie ogarnął strach, iż poszedłem natychmiast do pokoju na górę, wyjąłem z wazy podarty list, zdjąłem z lampy klucz i zaniosłem to wszystko do buduaru Mary, gdzie znajdował się kominek, aby wrzucić to wszystko do ognia. Zobaczyłem jednak ku swemu przerażeniu, iż w kominku tleje tylko kilka drewien; stałem w niepewności, co czynić, gdy naraz usłyszałem jakieś kroki. Wobec myśli o następstwach, jakie mogłyby wyniknąć, gdyby mnie zastano w tym pokoju, rzuciłem czemprędziej list do kominka i pospieszyłem do drzwi, po drodze jednak upuściłem klucz, który upadł pod krzesło. Kroki zbliżały się i ledwie zdążyłem wybiedz z pokoju na korytarz. Gdym znalazł się już przy swych drzwiach, na schodach ukazała się Eleonora, podtrzymywana przez dwie służące. Skierowały się one wprost do buduaru Mary. Uspokoiło mnie to; liczyłem, że znajdzie z pewnością klucz i będzie już umiała go schować.

Ponieważ nic potem nie słyszałem ani o kluczu, ani o liście, sądziłem ciągle, że udało jej się to zrobić. Tem się też tłómaczy, dlaczego nie obawiałem się bardzo o Eleonorę, bez względu na grożące jej niebezpieczeństwo. Zdawało mi się, że podejrzenia policyi oparte są tylko na jej dziwnem zachowaniu się w czasie śledztwa i chyba na tem jeszcze, że w pokoju zabitego znaleziono jej chustkę. Nie przypuszczałem, że policya ma już w swych rękach rzeczowe dowody udziału jej w tej sprawie, a nawet gdybym i wiedział o tem, to wątpię, czy zacząłbym postępować inaczej. Myślałem tylko o jednej Mary, a jej według mego zdania, nie groziło żadne niebezpieczeństwo, ponieważ nikt przeciw niej nie wypowiadał najmniejszego podejrzenia. Gdyby master Grys lub master Rymond, na którego patrzyłem, jak na swego najgorszego wroga, choć jednem słowem dał mi do zrozumienia, że zbierają się nad nią chmury, miałbym się, ma się rozumieć, na ostrożności. Pod tym względem jednak okazali się chytrzejszymi ode mnie i ja spędzałem najspokojniej dzień po dniu, nie lękając się wcale o los mej ukochanej.

Osobiste moje sprawy przedstawiały się bardzo ujemnie. Myśl o Dżen nie opuszczała mnie ani na chwilę; wiedziałem, że poszukuje jej policya i dlatego też byłem w ciągłym strachu. Przy tem wszystkiem spotkało mnie i to niepowodzenie, iż zamiast zawładnąć sercem Mary, jeszcze bardziej odpychałem ją od siebie. Odnosiła się do mnie chłodniej, niż poprzednio, a nawet unikała mnie wyraźnie, nie skrywając wstrętu dla mej osoby. Oprócz tego — i to w całości muszę przypisać wpływowi mastera Rymonda — starała się zwalczać w sobie ciągle te niedostatki, na które ja właśnie jak najbardziej liczyłem.

Wreszcie nadszedł czas, gdy już nie mogłem opanować męczącego mnie strachu. Pewnego wieczoru, gdym schodził po schodach razem z masterem Rymondem, dojrzałem nagle w buduarze Mary jakiegoś mężczyznę, który patrzył na nią takim wzrokiem, iż cała krew zakipiała we mnie, zwłaszcza, gdym usłyszał jak do niej mówił: „Lecz ty jesteś moją żoną i sama to dobrze wiesz! Teraz możesz już mówić i robić, co ci się podoba“.

„Był to dla mnie niespodziewany cios, który do reszty zniszczył me życie. Słyszeć po tem wszystkiem, co ja dla niej uczyniłem, jak ktoś inny nazywa ją swoją żoną — było to ponad me siły. Zrodziło to we mnie bezgraniczną nienawiść. Zapytałem mastera Rymonda, kto jest ten pan i gdym dowiedział się, że jest to — jak się już zresztą tego domyślałem — Klawering, straciłem panowanie nad sobą, zapomniałem o wszelkiej ostrożności i w porywie prawdziwego szaleństwa wskazałem na niego, jako na zabójcę mastera Lavenforta.

W tej samej chwili oddałbym pół świata, by cofnąć powiedziane słowa, gdyż rzucały one podejrzenia przedewszystkiem na mnie. W dodatku nie miałem żadnych dowodów, któremi mógłbym poprzeć słuszność swego oskarżenia. Odwoływać już go nie mogłem, po spędzonej zaś bezsennie nocy doszedłem do tego przekonania, iż najlepiej będzie, jeżeli wytłómaczę to swymi przesądami i bujną wyobraźnią. W ten tylko sposób zabezpieczyłem się od wszelkiego podejrzenia i zdawało mi się nawet, że dzięki temu właśnie, wzmocniły się w umyśle

mastera Rymonda uczucia niedowierzania i podejrzliwości, jakie i przedtem z niewiadomego mi powodu żywił względem Klaweringa.

Tymczasem nienawiść moja do tego człowieka wzrastała coraz bardziej, tak iż w końcu zadałem sobie pytanie, czyby nie można całego ciężaru oskarżenia w tej sprawie zrzucić na niego. Zamiar ten powstał w mej głowie, gdym raz wysłuchał zupełnie przypadkowo rozmowy służby o tem, iż w przeddzień zabójstwa Klawering przyszedł do naszego domu, lecz nikt nie widział kiedy i którędy wyszedł.

Na mojej drodze stała jednak jeszcze Dżen. Dopóki ona żyła, musiałem każdej chwili drżeć nie tylko o swoją wolność, lecz i o życie. Postanowiłem za jednym zamachem uwolnić się od niej, a jednocześnie zaspokoić i uczucie nienawiści do Klaweringa. W jaki jednak sposób to zrobić? Jak wykonać swój zamiar, nie wydalając się z domu i nie budząc w nikim podejrzeń. Z początku wydawało mi się to niemożliwem, lecz gdy zastanowiłem się nad wszystkiem dokładnie, doszedłem do przekonania, iż można urządzić wszystko tak, aby Dżen sama sobie śmierć zadała. Plan mój jeszcze nie dojrzał zupełnie, gdy już zacząłem wprowadzać go w wykonanie. Najzupełniej zdawałem sobie sprawę z grożącego mi niebezpieczeństwa i dlatego też przedsięwziąłem wszelkie możliwe środki ostrożności. Zamknąłem się w swym pokoju i napisałem do niej drukowanemi litera mi, inaczej bowiem nie mogłaby odczytać mego listu. Korzystając z jej przesądów, braku wykształcenia i lekkomyślności, napisałem jej, że miewam co nocy przyjemne sny, w których główną rolę ona odgrywa i że chciałbym bardzo, aby i ona miewała takie sny. Dlatego też posyłam jej cudowny środek pod postacią proszku, który winna zażyć, aby doznać takich samych rozkosznych marzeń, jakie ja co nocy przeżywam. Naprzód jednak musi spalić mój list, potem połknąć proszek, podłożyć pod poduszkę dołączoną do listu kopertę i wtedy dopiero położyć się do łóżka. W kopercie tej było właśnie to fałszywe wyznanie Dżen, które miało rzucić podejrzenie na Klaweringa.

Mimo, iż list ten wysłałem bez podpisu, zaczęły się dla mnie potem chwile nieustannej trwogi. Gdyby Dżen zaniedbała wypełnić choć jednej z mych wskazówek, wtedy wszystkie me nadzieje mogłyby się zamienić w najstraszniejszą dla mnie klęskę. O rezultacie tak podstępnie obmyślanej kombinacyi mogłem dowiedzieć się tylko z dzienników, lecz gdym w kilka dni potem przeczytał w dzienniku niewielką notatkę, poświęconą tajemniczej śmierci tej biednej dziewczyny i wtedy nawet nie doznałem najmniejszej ulgi.

Co będzie dalej, to może wiedzą mroczne ściany więzienia, w którem zostałem zamknięty. To są ostatnie me słowa, siły już mnie opuszczają“.

XXII.

— Miss Eleonoro! — zawołałem, wbiegając bez żadnej ceremonii do jej pokoju — chce pani wysłuchać dobrej wiadomości. Wiadomość? dzięki której rumieniec znowu zakwitnie na bladej pani twarzy i drogie oczy pani, na nowo zajaśnieją i życie całe opromieni się nowym radosnym blaskiem?

— Nie wiem jeszcze, o co chodzi — wyszeptała. — Obawiam się, by to, co panu wydaje się dobrą wieścią, nie okazało się dla mnie bardzo złą.

Gdy jednak opowiedziałem jej, jak wszystko odbyło się w rzeczywistości, gdy jej przedstawiłem wszystkie dowody na to, że Hervel popełnił to straszne przestępstwo, a Mary najmniejszego w niem nie brała udziału, pierwsze jej słowa były następujące:

— Niech mnie pan prowadzi do niej, na miłość Boga, jak najprędzej do niej! Dotąd nie uspokoję się, dopóki na kolanach nie wybłagam u niej przebaczenia. Jakże ja mogłam znieważyć ją takiem podejrzeniem!

Musiałem spełnić jej prośbę, kazałem zaprządz i zawiozłem ją do jej kuzyki.



Gdy opowiedziałem jej, jak wszystko się odbyło.

— Mary z pewnością odepchnie mnie od siebie — powtarzała po drodze, płacząc — ni e zechce mnie widzieć i będzie miała słuszność, gdyż nikt na świecie nie przebaczyłby podobnej niesprawiedliwości. Bóg jednak świadkiem, jak bardzo byłam przekonana, że dosyć mam podstaw do tego podejrzenia i gdyby pan wiedział...

— Wiem — przerwałem jej. — Mary sama przyznaje, że wszelkie poszlaki były na jej niekorzyść i że pani miała prawo ją podejrzewać.

— Ona mówiła to?

— Tak.

— Dzisiaj?

— Tak.

— W takim razie musiała bardzo się zmienić w ostatnim czasie.

W kilka chwil potem powóz stanął i wszedłem razem z Eleonorą do domu, w którym rozegrał się ten tajemniczy dramat. Oczy mej przepięknej towarzyszki jaśniały, na twarzy malował się rumieniec, cała postać jej przepojona była światłem i radością.

Drzwi otworzył nam Tomasz, który powitał swą panią następującemi słowami:

— Miss Lavenfort znajduje się w salonie.

Ponieważ zauważyłem, że Eleonora ledwie trzyma się na nogach ze wzruszenia, zaproponowałem jej, by poczekała chwilę, dopóki się nie uspokoi.

— Muszę iść prędzej, nie mogę czekać — odpowiedziała i szybko skierowała się przez korytarz w stronę salonu; naraz otworzyły się drzwi i na progu ukazała się Mary.

W okrzykach powitania, jakie zamieniły z sobą obydwie kuzynki, mieściło się wszystko. Eleonora chciała rzucić się do nóg siostrze, lecz Mary rozrzewniona zdołała ją w porę powstrzymać od tego.

— Moja wina względem ciebie jest zbyt wielką — szeptała Eleonora — nie będziesz mogła mi jej przebaczyć...

— A czyż ja nie jestem winna względem ciebie, że byłam tak zarozumiałą? Żałuję jednak tego szczerze z całej duszy i przebaczam wszystkim tym, którzy mi krzywdę jaką wyrządzili — odparła Mary.

Gdy w pół godziny potem Mary weszła do pokoju, w którym się znajdowałem, zdumiony byłem zmianą, jaka zaszła na jej twarzy; zamiast zarozumiałego uśmiechu malował się teraz wyraz jakiejś duchowej radości. Podszedłem ku niej na spotkanie i uścisnąłem jej rękę z głębokiem poważaniem i przyjacielską serdecznością, choć przed chwilą jeszcze nie przypuszczałem, by mogła wzbudzić we mnie podobne uczucia.

— Dziękuję panu — rzekła, rumieniąc się — gdyż teraz dopiero odczuwam w zupełności, jak bardzo winnam być wdzięczną panu za wszystko, co pan dla mnie uczynił. To jednak odkładam na później, gdyż teraz przychodzę z prośbą, aby pan pomógł mi namówić Eleonorę do przyjęcia w prezencie majątku, jaki mi zapisał stryj. Pan wie, że prawnie on się jej należy i otrzymałaby go, gdyby...

— Niech pani nie śpieszy się — odrzekłem — i namyśli się dobrze; trzeba się zastanowić gruntownie nad tak ważnym krokiem. Czy pani już stanowczo postanowiła oddać cały majątek po stryju swej kuzynce?

— I pan może się jeszcze o to pytać? — odrzekła.

Gdyśmy weszli do salonu, Klawering siedział razem z Eleonorą. Gdy tylko mnie zobaczył, wstał zaraz z krzesła.

— Panie Rymond — rzekł, odprowadzając mnie na bok — przedewszystkiem niech mi pan pozwoli się przeprosić. Nie zachowywałem się względem pana tak, jak byłem powinien.

— Panie Klawering — przerwałem mu — nie mówmy o tem, co należy już do przeszłości. Ja przynajmniej postanowiłem jak najprędzej o tem zapomnieć.

Zamieniliśmy serdeczny uścisk ręki i powróciliśmy do obu kuzynek.

Z dalszych wypadków dnia tego wspomnę tylko o następnem: mimo wszelkich namów Eleonora nie zgodziła się na przyjęcie majątku, z powodu którego została przelana krew stryja, w końcu więc postanowiono, aby za te pieniądze wybudować jaki dobroczynny zakład, poświęcony pamięci zabitego milionera.

Po pożegnaniu się z młodem, złączonem już na zawsze małżeństwem, odprowadziłem Eleonorę do domu. Gdy tylko wróciłem do siebie, ułożyłem się zaraz do snu, który zamienił mi się w najpiękniejsze marzenia, główną w nich rolę grały promienne oczy Eleonory, które z czasem miały mi świecić jak promienne gwiazdy mego życia.

KONIEC.

Nasza nowa powieść.

W następnym numerze „**Nowości illustrowanych**“ rozpoczynamy druk niezmiernie interesującej, sensacyjnej powieści jednego z najgłośniejszych dziś i najpoczytniejszych pisarzy angielskich

ARNOLDA BENNETA p. t. „WIDMO“.

Po zgonie króla Anglii.

W osieroconej przez nagły zgon króla Edwarda VII. Anglii, sprawuje już rządy nowy jej monarcha Jerzy V. W ciągu nie wielu dni swych rządów, nie miał on oczywiście jeszcze sposobności okazania swego charakteru, zwłaszcza że życie publiczne w Anglii jakby zamarło od chwili zgonu ukochanego króla i zajmowano się tylko przygotowaniami do pogrzebu.

Eksportacya zwłok na miejsce wiecznego spoczynku w Windsorze nastąpiła w ubiegły piątek, a więc w pełne dwa tygodnie po śmierci króla. Do tego czasu spoczywała trumna ze zwłokami naprzód w pałacu Buckingham, gdzie Edward VII. życie zakończył a następnie w Westminsterhall.

Uroczystość pogrzebowa była imponującą, choć smutną i żałobną manifestacyą całego narodu, świadczącą bardzo wymownie o miłości, jaką król Edward w ciągu niedługiego swego panowania zdobył wśród poddanych. Już od godz. 6 rano zastanowiono w ulicach Londynu ruch kołowy, sklepów nie otwierano wcale, w fabrykach wstrzymano pracę. Ludność całego miasta oraz nieprzeliczone zastępy obcych, przybyłych w tym celu do Londynu, zajęły na kilka godzin przed pogrzebem ulice, któremi kondukt pogrzebowy miał przechodzić. Ulice te były udekorowane masztami, tak samo kamienice i gmachy publiczne.

Ceremonia zaczęła się około godz. 10 przed południem. Z katafalku w Westminsterhall ponieśli zwłoki i złożyli na lawecie jeden oficer i 12 żołnierzy gwardyi, poczem kondukt ruszył ku dworcowi kolejowemu Paddington. Pochód otwierała muzyka kawaleryi gwardyi, za którą szły oddziały armii terytoryalnej i kolonialnej, rezerwy armii indyjskiej i regularnej, marynarki, attachés wojskowi, deputacye zagranicznych wojsk i marynarki, najwyżsi dygnitarze angielscy, adjutanci króla i świta jego, oraz dygnitarze dworscy.

Lawetę ze zwłokami, okrytą białym jedwabiem, ciągnęło ośm koni, a otaczali ją gwardziści przyboczni i koniuszowie królewscy. Bezpośrednio za zwłokami jechali konno: admirał książę Ludwik Battenberski a dalej chorąży królewski, za którym prowadzono konia króla Edwarda. Następnie konno jechał król Jerzy V., po jego prawej stronie cesarz niemiecki, po lewej książę Connaught, a za nimi trójkami, również konno, królowie: norweski, grecki, hiszpański, bułgarski, duński, portugalski i belgijski, następca tronu austryackiego arcyksiążę Franciszek Ferdynand, W. książę Michał Aleksandrowicz, dalej mnóstwo panujących mniejszych państw niemieckich, zastępców panujących i książąt. W powozach zajęły miejsca: królowa Aleksandra z siostrą swą cesarzową-wdową rosyjską, księżną Royal i księżną Wiktoryą, dalej królowa Mary, królowa norweska i księżniczki. Powozem jechał też były prezydent Roosevelt, oraz reprezentanci Chin i Persyi.



Fot. H. Probstein, Jarosław.
Nowy komendant korpusu w Preszburgu: Marszałek polny porucznik v. Sprecher.

Po przybyciu konduktu na stacyę Paddington oficerowie zanieśli trumnę do specyalnego pociągu, który o godzinie 12 ruszył do Windsoru. Tam nastąpił dalszy ciąg ceremonii pogrzebowych, a pochód z dworca ku kaplicy św. Jerzego, gdzie zwłoki spoczęły, odbył się w tym samym porządku jak w Londynie. Obrządki religijne odprawili arcybiskupi Canterbury i Jorku, w asystencyi biskupów z Windsoru i Oksfordu oraz dziekana z Windsoru i licznego duchowieństwa.

Po nabożeństwie żałobnem i tradycyjnem ogłoszeniu zgonu króla, trumnę ze zwokami zamurowano.

Ćwiczenia balonowe w Przemyślu.

W czasach ostatnich zwrócono w sferach wojskowych baczną uwagę na kwestyę żeglugi powietrznej, która w przyszłej wojnie europejskiej odegrać musi bardzo ważną rolę. O ile udoskonalone aeroplany różnych systemów będą przeznaczone do atakowania nieprzyjaciela, o tyle znów dawne balony, wypełnione gazem, muszą mieć zastosowanie w służbie wywiadowczej.

Przemyski oddział aeronautyczny odbywa peryodyczne ćwiczenia pod komendą porucznika 3 pułku artyleryi fortecznej, Ellnera, na błoniu pod miastem. W dniu 18 maja b. r. odbyły się publiczne ćwiczenia. W koszu balonowym zajął miejsce komendant oddziału, porucznik Eller. W krótkim czasie odbył balon drogę 130 klm., wzniósłszy się do wysokości 1900 m. i po dwugodzinnym locie spadł na pograniczu austryacko-rosyjskiem.

W dniu 22 b. m. odbył się drugi wzlot przy nader licznym udziale publiczności i przepięknej pogodzie. Balon „Schwarzenberg“, w którego koszu siedział porucznik 40 p. p. Baumann, wzniósł się do wysokości 2200 metrów i odrazu przyjął kierunek południowo wschodni. Wylądowanie, równie jak i poprzednie szczęśliwe, odbyło się zupełnie gładko we wsi Świątkowej Wielkiej w powiecie jasielskim. W ciągu tego czasu przeleciał balon 110 klm.



Po zgonie króla Anglii: Trumna ze zwłokami króla w sali pałacu Buckingham.



Po zgonie króla Anglii: Król angielski Edward VII. ze swymi wnukami.

Kronika tygodniowa.

(Kto miał racyę? — Przebieg krytycznej nocy. — Radość a zarazem rozczarowanie w dniu 19 maja rano. — Podzielone zdania. — Wiadomość o dwu ogonach i skrzywieniu. — Zupełny brak ogona, stwierdzony przez damy. — Propozycye, jakie mi uczyniono. — Dlaczego nie będę dyrektorem obserwatoryum. — Pierwszy raz zgadzam się z panem Ignacym.— Co mnie znów wstrzymuje od przyjęcia propozycyi Wilusia.— Wzlot Hieronymusa i sprawy budżetowe. — Kłopoty ministra skarbu. — Ludowcy i Wisła. -- O kosze tramwajowe).

Ani nawet nie przypuszczałem, że posiadam tak wspaniałe, chociaż dotąd skromnie ukryte, zdolności astronomiczne, które otworzyły się dopiero dzięki komecie. Że tak jest, a nie inaczej, mogli przekonać się Szanowni Czytelnicy z moich zeszłotygodniowych wywodów *ex re* zapowiedzianego na noc z 18 na 19 maja przejścia ziemi przez ogon Halleya. Kona z rzędem, i to żywego i rasowego ofiaruję każdemu, kto potrafi wykazać, że znalazł się na całym ziemskim globie drugi astronom, choćby nawet zawodowy, a nie amator, jak niżej podpisany, którego przepowiednie sprawdziły się tak, jak moje, co do joty. Oświadczyłem wówczas, że nie możemy dotąd stanowczo twierdzić, czy kometa rzeczywiście wędruje ponad nami, czy wogóle posiada ogon i czy ziemia przejdzie przez niego, a i dzisiaj wiemy o niej akurat tyle, co i przed tygodniem.

Krytyczna noc, na którą wielu oczekiwało z taką trwogą i niepewnością, przeszła przynajmniej w Krakowie bardzo spokojnie, nie stwierdzono nawet żadnych zaburzeń magnetycznych ani elektrycznych, małżeńskie zaś nieporozumienia i burze domowe, jakie zanotowano tu i ówdzie z powodu spóźnienia się małżonka-astronoma, w rachubę absolutnie wchodzić nie mogą. Kto wyszedł na Błonia, aby osobiście stwierdzić przejście ziemi przez ogon i nałapać do butelki powietrza, przesyconego kwasem pruskim, powrócił z niczem—najlepiej stosunkowo wyszli ci, którzy w obawie katastrofy spędzali ową noc w sklepionych lokalach, jakich, dzięki Bogu, mamy dość w Krakowie (Wentzel, Kosz, Hawełka i t. d.). Co się mnie tyczy, to z wyłuszczonych już poprzednio powodów nie opuszczałem w nocy z 18 na 19 maja domowego ogniska, lecz uzupełniwszy testament klauzulą, iż w razie odłożenia końca świata traci on moc obowiązującą, pożegnałem czule moją połowicę, podałem projekt jutrzejszego obiadu i w oczekiwaniu najgorszej ewentualności dałem nurka pod kołdrę. Spałem jak suseł... Gdy nazajutrz otworzyłem oczy, zegar wskazywał dziesiątą rano. Czcigodna moja połowica chrapała jeszcze, jak miech kowalski, na oko jednak świat wyglądał zupełnie tak samo, jak i wczoraj. Zadowolony, że przecież Flammarion nie miał racyi, wyskoczyłem z łoża i spojrzałem przez okno na ulicę. Wszystko na swojem miejscu, wieża Marjacka i Sukiennice, nawet ten sam policyant, który wczoraj tak poważnie kroczył środkiem drogi, z niemniejszą powagą i dziś odbywa swą zwyczajną wędrówkę.

— Stara! Więc żyjemy! — zawołałem z radością, budząc czcigodną magnifikę. — Nic ci się w nocy złego nie stało!

— Ano, jak widzisz! — odparła, przecierając oczy...

Tego, to mi żal rzeczywiście! — pomyślałem sobie w duchu i ubrałem się pośpiesznie, aby na własne oczy wyczytać w porannych wydaniach, czy tylko my jesteśmy tak szczęśliwi, czy też wogóle na całym świecie kometa krzywdy nikomu nie uczyniła. Tu i ówdzie spotykałem różnych amatorów-astronomów, wracających chwiejnym krokiem z całonocnych obserwacyi, gromady ciekawych oblegały ekspedycye gazet.

Ale teraz dopiero dostałem się z deszczu pod rynnę! Zakupiłem wprawdzie wszelkie możliwe wydania poranne, dowiedziałem się jednak z nich, że ziemia przeszła już przez ogon, że prawdopodobnie przeszła, że dopiero przejdzie, ponieważ ogon komety z przyczyn od redakcyi niezależnych skrzywił się w przeciwną stronę. Ów wolny wybór tak mnie zadowolnił, że ślubowałem, iż przez cały tydzień nie rzucę nawet okiem na żadne polityczne wiadomości, natomiast z nabożeństwem odczytam codziennie wszystkie notatki astronomiczne, w szczególności zaś odnoszące się do komety Halleya. I dowiedziałem się z czasem, że kometa ma ogon rzeczywiście skrzywiony (to przyznam się szczerze, jest bardziej *modern,* niż zupełnie prosty), że ma dwa ogony, jeden krótszy, drugi dłuższy, a nawet znalazł się jeden z mych przyjaciół, który z całą rodziną wybrał się w stronę Michałowic na obserwacyę i twierdził stanowczo, że to wszystko blaga, bo widział na niebie na własne oczy jakąś plamę (miała to być właśnie owa kometa, ale *incognito*), a ona ogona zupełnie nie posiadała! Prawdziwość jego spostrzeżeń stwierdziła cała rada familijna, złożona aż z trzech pań, a wyrokowi takiego areopagu absolutnie sprzeciwić się nie byłbym w stanie, już choćby z samej galanteryi, jaką winni jesteśmy niewiastom.

W tem samem, co i ja położeniu, jest zapewne i każdy z Szan. Czytelników, więc mi też przyzna, że jedynie moje przepowiednie spełniły się w zupełności, bo rzeczywiście o komecie nic dotąd pewnego nie wiemy, przeszła, czy nie przeszła, ma ogon, czy niema, a może jest nawet, jak lew czeski dwuogoniasta?!

Nie zdziwiły mnie też propozycye, jakie otrzymałem w bieżącym tygodniu. Krakowska Wszechnica, uznając moje znakomite zdolności astronomiczne ofiarowała mi posadę dyrektora obserwatoryum, cesarz Wilhelm w odręcznym telegramie zaproponował zaś, czybym przypadkowo nie reflektował na posadę jego nadwornego astrologa. Na pierwszą ofertę odpowiedziałem odmownie, a to ze względu na mowę, wygłoszoną przez posła Daszyńskiego, który wykazał, że Wysoki Rząd w stosunku do potrzeb naszego uniwersytetu jest jeszcze więcej, niż skąpym i stale odmawia funduszów na najpotrzebniejsze nawet inwestycye. Jakże więc mógłbym odpowiedzieć zadaniu, skoro, jak mi opowiadano, krakowskie obserwatoryum, oprócz nowej dziury w dachu, posiada same zeszte stare przyrządy, pomiędzy nimi zaś najwspanialszym i najnowszym jest teleskop, przez który Trzej Królówie śledzili przed wiekami bieg gwiazdy betleemskiej. W tym wypadku zgadzam się zupełnie z wywodami pana posła Ignacego, ale się znów Wysokiemu Rządowi nie dziwię, skoro bowiem potrzeba koron na okręty i armaty, a od tego zależy przecież powaga naszej c. k. szerszej ojczyzny, ktoby tam łożył pieniądze na podobne głupstwa, jak nauka, bez której się łatwo każdy może obejść, jeśli tylko ma choć trochę szczęścia i sprytu życiowego.

Co do drugiej propozycyi namyślam się jeszcze, nie dlatego jednak, abym może żywił jakieś sympatye dla potomków krzyżackiej zbieraniny, lecz jedynie z tego powodu, iż gdybym się na nią zgodził, to tylko w tej myśli, że odegram tam rolę Wallenroda, a boję się znowu, że potępiliby mnie Stańczycy, którzy nawet w roku grunwaldzkim za żadną cenę nie pozwalają drażnić Niemców, kochających nas z całego serca i myślących tylko o naszej korzyści. Jeśli kto twierdzi, iż są wobec nas wrogo usposobieni, jest w błędzie, oni tylko udają, że nas gniotą, aby w narodzie polskim wyrobić tem silniejsze poczucie godności narodowej.

Zresztą każdy mógł się łatwo przekonać o szlachetności niemieckiego serca z okazyi choćby pogrzebu króla Edwarda. Chociaż zdawało się, że Wiluś utopiłby wujaszka w łyżce wody, ponieważ tenże paraliżował jego polityczne zapędy, przecież na pierwszą wiadomość o jego śmierci, okazał tak wielką boleść, że aż wzruszenie opanowało całą niemiecką prasę, a nawet osobiście pospieszył do Londynu, aby się przekonać „na własne oczy“, czy to prawda, że rzeczywiście ten, który mu przeszkadzał, już nie żyje. Przybywszy do Londynu, wygłosił cały szereg czułości, nie zapomniał jednak i o pokoju światowym, którego jest takim orędownikiem i odbył konferencyę z francuskim ministrem spraw zagranicznych, Pichonem, aby zamanifestować, że w spadku po wuju gotów jest objąć batutę kapelmistrza w koncercie europejskim. Przy takim zbiegu okoliczności posada nadwornego astrologa jego cesarskiej mości mogłaby być i bardzo wpływowa i rentowną, ze względów jednak wyżej przytoczonych, obecnie już na nią nie reflektuję.

Raczej może zdecydowałbym się ze względu na powodzenie Hieronymusa, na rozpoczęcie studyów aeronautycznych, aby módz z wyższych sfer spoglądać na nasz rozszerzony Kraków, który pomimo tak pokaźnych kształtów wykazuje w swym budżecie tylko sto tysięcy deficytu. Deficyt ten postanowiono pokryć z zapasów kasowych, których jednak u nas w Krakowie stale brakuje, albo też z pożyczki, mającej być spłaconą w trzech latach.

Budżet nasz miejski jest zawsze tak samo kulejący, jak i budżet naszej szerszej ojczyzny, z tą jednak różnicą, że gdy ona posiada zawsze na fotelu ministra skarbu genialnego męża, który, niczem Salomon, potrafi nalać z próżnego, to jest wynaleźć znów nowy jakiś podatek, u nas nie może to służyć za wzór, gdyż podatki z dodatkami, przybrały już tak potworne kształty, iż ani myśleć, aby je można jeszcze powiększyć. Genialności natomiast naszym ojcom miasta odmówić nie możemy, nie robią jednak z niej użytku, gdyż łatwo mogliby utracić popularność. Wiadomo powszechnie, że człowiek na nic tak nie jest czułym, jak na kieszeń, to też każdy z agitujących mowców chcąc sobie zjednać życzliwość słuchaczy, powinien tylko zacząć wymyślać na ministra finansów, a może być pewnym oklasków. Tak zrobił onegdaj poseł dr. Gessmann w Maryenbadzie i odrazu zjednał sobie życzliwość słuchających.

Ciężki to zawód być ministrem skarbu, szczególniej w Austryi, gdzie deficyt jest chroniczną słabością, a gdzie znów pan minister wojny cierpi na morską chorobę i potrzebuje milionów na nowe dreadnoughty. Odmówić mu nic nie można, bo tego wymaga mocarstwowe stanowisko austryackiej monarchii, a funduszy znaleźć trudno, gdyż parlamenty są dość wstrzemięźliwe w uchwalaniu nowych podatków, chyba, że się je grzecznie poprosi lub zagrozi rozpędzeniem, ale bez dyet. To też zwija się minister, niczem piskorz, a śruba podatkowa obraca się z daleko większą chyżością, niż na aeroplanie Hieronymusa. Z kolei czekają na opodatkowanie wody mineralne i zapałki. Co do pierwszych, to niech tam flaszka kosztuje i guldena, mało mnie to obchodzi, byle piwo nie podrożało. Chorowanie jest zbytkiem, kto więc żyje nad stan, niech płaci. Opodatkowanie zapałek wpłynie znów dodatnio na nasze panie, gdyż wówczas będziemy musieli ze względów oszczędnościowych utrzymywać ognisko domowe, a któż, jeśli nie kobieta, powołanym jest do ich strzeżenia? Jeśli więc nasze panie będą musiały dmuchać w domowe ognisko, nie będą mogły gonić po posiedzeniach, co nam mężom wyjdzie tylko na zdrowie!

Narzekamy ciągle na biedę, zdaje mi się jednak niesłusznie, skoro mógł osiąść w Krakowie na stałe wyścigowy bookmacher. Widocznie stawia narodek na różne koniki i lubi totalizatora, więc też musi mieć i pieniądze. Czy tak jest w istocie, wątpię, boć np. na loteryi liczbowej grają jedynie najbiedniejsze sfery, które odmawiają sobie kawałka suchego chleba, by módz zanieść parę centów i rzucić je w paszczę loteryjnego molocha, ale zawsze są w nadziei, że zdebankuje się pana ministra skarbu, któremu wówczas nie pozostanie nic innego, jak podanie się do dymisyi.

Dymisyą grożą również ludowcy swemu arcykapłanowi Stapińskiemu. W łonie ich utworzyła się fronda, grupująca się około lwowskiej *Gazety ludowej*. Przeciw dyktatorowi wytoczono nader ciężkie działa i rozpoczęto walkę podjazdową, a bomba ma pęknąć w czerwcu, w czasie kongresu ludowców w Rzeszowie. Tymczasem robi pan Jan wielką krzywdę Krakowowi, zabiera nam bowiem *Wisłę*, a jak można wyobrazić sobie gród Krakusowy bez jej modrych nurtów! Sama Rudawa nam nie wystarczy!

Niech się jednak pocieszy każdy miłujący rodzinne gniazdo Krakowianin, nie chodzi tu o ową mokrą Wisłę, bo ta nam zostanie, ale o tę suchą, która jest tak zwanem ludowem Towarzystwem wzajemnych ubezpieczeń. Pan Stapiński, pragnąc ją uregulować, zabiera ją ze sobą nad Pełtew, gdzie grunt ma być odpowiedniejszy. Pozostanie nam nadto druga jeszcze „Wisła“, w postaci klubu footballowego, bez tamtej więc stanowczo się obejdziemy.

Na zakończenie skromne zapytanie do Towarzystwa upiększenia miasta Krakowa. Swojego czasu porobił Zarząd tramwajowy na niektórych słupach kosze, rzekomo na kwiaty. Miasto miało się zająć ich zasadzeniem, ale dotąd o tem ani słychu! Gdyby przynajmniej nasypano tam ziemi, wiatr przyniósłby może kilka nasion z plantacyi i wreszcie ujrzelibyśmy zieloność, tymczasem wiosna się kończy, a lato zaczyna, a nikt o tem nie pomyślał... Czy może obawiano się fatalnych skutków komety?...

X.

„Garden Party“ w Krakowie.

Pod protektoratem księżnej Kazimierzowej Lubomirskiej, hrabiny Stanisławowej Tarnowskiej i hrabiny Stanisławowej Wodzickiej, staraniem zaś PP. Ekonomek, odbędzie się w najbliższą sobotę w ogrodzie hr. Pusłowskich, przy ul. Kolejowej l. 10 bardzo oryginalna zabawa, „Garden Party“, po raz pierwszy w Krakowie urządzona. Program tej zabawy, odbiegający daleko od szablonów festynowych, zapewni jej niewątpliwie ogromne powodzenie, zwłaszcza że dochód przeznaczono na cel bardzo piękny, a mianowicie na ambulatoryum PP. Ekonomek u Sióstr Miłosierdzia.

Zabawa odbywać się będzie przy dźwiękach muzyki wojskowej, która przygrywać będzie od 5-tej godziny popołudniu do 10 wieczór. Od zmroku ogród będzie oświetlony elektrycznie. Kulminacyjnym punktem programu będzie taniec znanej zaszczytnie z wielu występów w Krakowie i Warszawie tancerki klasycznej, panny Stefanii Dąbrowskiej.

Ambulatoryum, na którego rzecz przeznaczono dochód z „Garden Party“, zostało założone przez PP. Ekonomki w roku ubiegłym w jesieni i funkcyonuje bardzo skutecznie pod ich zarządem. O potrzebie i użyteczności tej instytucyi świadczy najlepiej to, iż w okresie kilku miesięcy założono w ambulatoryum około 2000 opatrunków.

Wobec więc pięknego celu i wspaniałego programu zabawy, będzie zdaje się zbytecznem zachęcać publiczność krakowską, by jak najliczniej stawiła się w przyszłą niedzielę w ogrodzie hr. Pusłowskich.

Roosevelt w Berlinie.

W podróży swej po Europie zawitał były prezydent Stanów Zjednoczonych, a jak go złośliwie niektórzy nazywają, „przyszły cesarz Unii amerykańskiej“ i nad Sprewę, gdzie cesarz Wilhelm zgotował nader gorące i serdeczne przyjęcie dla swego gościa. Odbył się cały szereg uczt, uroczystości i festynów, Roosevelta promowano nawet na honorowego doktora berlińskiego uniwersytetu, przy której to sposobności wygłosił odczyt „O światowym ruchu kulturalnym“. Nie obeszło się naturalnie bez tradycyjnej parady wojskowej, bez której w Berlinie nie ma żadnej większej uroczystości...

Berlińczycy jednak niezadowoleni są ze swego gościa; nie może im się zwłaszcza w głowie pomieścić, jak ex-prezydent mógł być tak niedelikatnym, aby kazać na się cesarzowi wraz ze świtą czekać cały kwadrans na polu ćwiczeń! Jeszcze bardziej ubodła ich otwartość Amerykanina. Gdy w czasie śniadania, wydanego przez ambasadę amerykańską na cześć dostojnego gościa, zrobił ktoś uwagę, że piękny ustęp końcowy odczytu, o konieczności rządzenia się przez narody sprawiedliwością, będzie niezawodnie srogo komentowany przez prasę, ze względu na politykę twardej ręki, stosowaną wobec obcych narodów, podległych berłu niemieckiemu, Roosevelt odpowiedział:



Match „Cracovii“ z „Wisłą“: Doskonała drużyna „Wisła“ wraz z sędzią wiedeńskim p. Wykoukalem (X).



Fot. M. Todt, Przemyśl.

Cwiczenia balonowe w Przemyślu: Balon wojskowy na chwilę przed wzlotem; w koszu porucznik Baumann 40 pp.

— Co prawda, mówiąc to, nie miałem nikogo na myśli, muszę jednak oświadczyć, że miły mi jest zbieg okoliczności, który mi dał możność wysłania depeszy gratulacyjnej do dzielnych Polaków amerykańskich z racyi odsłonięcia w Waszyngtonie pomników ich dwu bohaterów narodowych!

Illustracya nasza przedstawia prezydenta Roosevelta i cesarza Wilhelma wraz ze świtą na polu ćwiczeń pod Berlinem.



Fot. M. Todt, Przemyśl.

Lokaut murarzy w Przemyślu: Grupa demonstrujących robotników murarskich.

Match „Cracovii“ z „Wisłą“.

Dwie najlepsze drużyny footballowe krakowskie „Cracovia“ i „Wisła“, po rozegraniu szeregu zwycięskich matchów z drużynami obcemi, stanęły w ubiegłą niedzielę do walki ze sobą o pierwszeństwo w Krakowie. Podobnie jak na wszystkich poprzednich matchach, publiczność zebrała się wokół boiska bardzo licznie, składając tem nowy dowód zainteresowania, z jakiem odnosi się do ruchu sportowego w Krakowie.

Zwycięstwo w matchu przypadło, jak z góry należało się spodziewać, „Cracovii“, w stosunku 2:0. Zwycięstwo to jednak zdobyła „Cracovia“ po bardzo ciężkich wysiłkach, ponieważ gra „Wisły“ stoi obecnie na poziomie bardzo wysokim. Drużyna jej trenuje widocznie bardzo sumiennie i pilnie, doprowadziła też do istotnie pięknych wyników. Zwłaszcza „pomoc“ i „backi“ „Wisły“ są doskonali, tem też, oraz zgraniem wzajemnem całej drużyny, górowała „Wisła“ nad „Cracovią“, która ma natomiast znakomity „napad“, dzielnych „backów“ i nadzwyczajnego „bramkarza“.

Match ostatni był o tyle bardziej interesujący, iż na sędziego zaprosiły oba kluby delegata austryackiego Związku footbalowego, którym był p. Wykoukal z Wiednia. Nadzwyczajna bystrość i przytomność umysłu sędziego wiedeńskiego, obok najzupełniejszej bezstronności i stanowczości, powinna być wzorem dla innych sędziów naszych, którzy pod tym względem czasem bardzo jaskrawo grzeszą.

Na najbliższe tygodnie zapowiedziane są matche obu klubów krakowskich z dwoma najlepszemi drużynami lwowskiemi t. j. z „Czarnymi“ i „Pogonią“.



Honorata Leszczyńska.

Lokaut murarzy w Przemyślu.

Od dłuższego już czasu trwał w Przemyślu spór między przedsiębiorcami budowlanymi a ogółem robotników murarskich; spór ten przemienił się w ostatnich dwóch tygodniach w ostrą i stanowczą walkę. Ostatnio doszło do tego, że majstrowie odrazu pozbawili zarobku zapomocą lokautu 1200 ludzi.

Na razie konflikt jest nierozstrzygnięty, bo ani jedna ani druga strona nie chce się poddać.

Robotnikami opiekuje się ich zawodowa organizacya, która nietylko zaopatruje robotników w zasiłki pieniężne ale także od czasu do czasu rozdziela między rodziny robotnicze chleb, wypiekany w olbrzymiej piekarni robotniczej w Przemyślu.

Charakterystyczne jest, że najzaciętszymi przeciwnikami murarzy, są dwaj majstrowie murarscy pp. Iwan Pawłysz i Osyp Łewczak.

Rycina nasza przedstawia robotników zlokautowanych w chwilę po otrzymaniu chleba.

Nowy komendant korpusu w Preszburgu.

Wśród licznych ostatnimi czasy i poważnych zmian, jakie nastąpiły na najwyższych stanowiskach wojskowych w armii austryackiej, przeniesiono komendanta dywizyi w Jarosławiu, marszałka polnego v. Sprechera do Preszburga, gdzie został komenderującym tamtejszego korpusu.

Zaszczytny ten awans przywitano w Jarosławiu z dwojakiego rodzaju uczuciami. Generał Sprecher w czasie swego pobytu w tem mieście zyskał sobie ogólny szacunek i sympatyę, to też cieszono się z nominacyi jego i awansu, z drugiej jednak strony ogólnie żałowano, iż Jarosław traci tak sympatycznego i cenionego oficera.

Honorata Leszczyńska.

W gościnę do teatru miejskiego w Krakowie przybyła na szereg występów znakomita polska artystka dramatyczna z Teatru Nowości w Warszawie, p. Honorata Leszczyńska.

Córka jednego z najwybitniejszych aktorów polskich, Wincentego Rapackiego, a żona równie znakomitego tragika Bolesława Leszczyńskiego, wniosła do teatru prócz talentu niepospolitego i doskonałych warunków, także jak najlepsze tradycye, zajęła też wnet pierwszorzędne stanowisko na scenach polskich.

Grę znakomitej artystki warszawskiej cechuje przedewszystkiem temperament obok szczerości uczucia, obok nadzwyczajnej inteligencyi i miary artystycznej. Wytworna i pełna wdzięku w komedyi, umie być także rubaszną lub pełną tragicznej grozy w tragedyi i dramacie. Potrafi wogóle każdej przez się kreowanej postaci nadać właściwy, odpowiedni ton, potrafi tworzyć typy, pełne życia i prawdy.

Leszczyńska jest ulubienicą publiczności warszawskiej, a jubileusz jej dwudziestopięcioletniej pracy na scenie, przed dwoma laty obchodzony, był tych sympatyi najlepszym dowodem i wyrazem. Znakomita artystka, mimo długoletniej, mozolnej pracy, zachowała dotąd nadzwyczajną świeżość umysłu, wesołość, humor i lekkość, którą publiczność podbija i zdobywa.

Dotychczasowe występy Leszczyńskiej w sztukach „Małżeństwo aktorki“ i „Zaczarowane koło“ miały ogromne powodzenie; nie można wątpić, iż towarzyszyć ono będzie i w dalszych jej występach w Krakowie.

Rozwiązanie zagadek z Nr 20.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: K. Lisowski Sędziszów, M. Smoleńska Olchowiec, K. Czapuczyński Lwów, Z. Rosenberg Płock, M. Idziński Jasło, M Hnasiewicz Rzeszów, J. Nowak Sanok, R. Richter Sandomierz, K. Samlicki Rzeszów, J. Trzeciak Jaworów, M. Krawecka Lwów, W. Grzędzielski Sanok, K. Gadulski Poznań, J. Borkowski Kołomyja, K. Szpilczyński Warszawa, M. Karpińska Lwów, J. Fischer Okocim, R. Łomnicki Trembowla, S Cichocki Buczacz, J. Mikuła Kraków, J. Gawor Sącz, H. Osachowski Piotrków, K. Brzeziński Jasło, M. Lemiszewska Podwołoczyska, K Armatys Tarnopol, J. Czarkowski



Uczczenie sędziwego kompozytora: Ośmdziesięcioletni kompozytor Karol Goldmark.

Ostrów, B. Przewłocka Kraków, W. Ossowski Warszawa. A. Biliński Tarnopol, O. Górkowa Chyrów, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Sikorski Warszawa, K. Łopatkiewicz Lwów, H Müller Wiedeń, J. Schnader Rzeszów, M. Rosenkranz Sanok, J. Sonenschein Kraków, S. Fränkel Kołomyja, K. Kinalski Jasło, M. Knapik Kraków, W. Potocka Kraków, S. Kowalski Kraków, K Borysławski Warszawa, J. Klimek Skierniewice, J. Lubomęski Częstochowa, K. Kanarek Jaworów, H. Ziegler Lwów, K. Radwańska Jasło, M. Ligaczewski Józefów, J. Nowacki Krosno, M. Wieczyńska Tarnobrzeg, W. Ostrowski Płock. W. Thun Płock, J. Lipska Sandomierz, H. Orwid Pułtusk, S. Karczmarski Kraków, H. Mroczkowski Kraków, J. Albiński Jaworów, S. Miziewicz Tarnopol, K Berger Kołomyja, J. Wacławik Sanok, J. Zachara Lwów, K. Wika Rzeszów, M. Cieślińska Kraków, K. Gryziecki Bochnia, J. Mandel Lwów, B. Sobolewska Jordanów, A Mann Krosno, Z. Nursbaum Jędrzejów, M. Serwatowska Komarno, J. Dziedzic Przemyśl, H. Popiel Sanok, W. Rybicki Janów, M Zegarowska Sącz, T. Orlińska Grębów, S Katz Kołomyja, K Kaim Kraków, E Bogdalska Koropuż, M Sulima Skawina, Z. Konopnicka Sambor, K. Fuchs Czeremchów, S. Faliszewski Baligród, H. Zuckerkandel Rzeszów, K. Kramek Tarnów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **K. Kinalski Jasło.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal na koszta poleconej przesyłki.

Logogryf:
M a j o l i k i
A m n e s t y a
R y g o r y z m
D **y** f t e r y a
C z **a** r d a s z
K r o **k** o d y l
L i t t a **G** a ć
J a s t r z **ą** b
L e n i w i **e** c
J a n o w i e **c**
G r o d z i s **k**
A k u s t y k **a**

Szarada: Porzeczka

Zadanie literackie:

Widmo

Ogniwa

Dwa bieguny

Za dolinę łez

I pieśń niech zapłacze

Różnica

Eli Makower

Jędza

Zagadka przysłowiowa: Kto daje, dopije, ten w rozum nie tyje.

Arytmograf: Jadwiga.

Łamigłówka: Stefan Żeromski.

Zadanie na rozsypane litery: Nie odrazu Kraków zbudowano.

Zadanie do przestawienia: Kiedy trwoga, to do Boga.

Głosy publiczne.

Dyrekcya Cyrku „Edison“ donosi: We czwartek dnia 26. maja 1910. z okazyi święta Bożego Ciała 2 przedstawienia o godzinie 4-tej popołudniu i o godzinie 8-mej wieczór ze zupełnie nowym programem We środę dnia 1. czerwca 1910. nieodwołalnie ostatnie pożegnalne przedstawienie.

Z półek księgarskich.

Prymaryusz Dr. Józef Bogdanik: **Kult piękności i zdrowia.** Do użytku lekarzy i inteligentnych czytelników 1910. Kraków. Skład główny w księgarni Kaspra Wojnara, Warszawa w księgarni Gebethnera i Wolffa. Z rycinami w tekscie.

Jest to pierwszy obszerniejszy i oryginalnie w języku polskim napisany podręcznik kosmetyki lekarskiej, opracowany naukowo a jednak nader przystępnie nawet dla laika. W czternastu rozdziałach porusza autor najważniejsze momenty, wchodzące w zakres, tego działu i podaje cenne wskazówki, w jaki sposób należy pielęgnować zdrowie, lub szukać pomocy, jeśli zostało nadwyrężonem. Uwzględniono przy tem najnowsze zdobycze wiedzy lekarskiej: elektryzacyę, röntgenizacyę i radioterapię. Osobny rozdział poświęcony jest operacyom kosmetycznym, kształceniu zmysłów i tak rozpowszechnionym obecnie zabawom i sportom.

Dziełko o nader obfitej treści (112 stron tekstu) wypełni w naszej medycznej literaturze lukę, która nawet i lekarzom dawała się dotąd odczuwać.

Restauracya na krakowskim torze wyścigowym.

Na torze wyścigowym w Krakowie będzie w tym roku ruch bardzo ożywiony, prócz wyścigów bowiem, zapowiedzianych na połowę czerwca, mają się tam odbyć jeszcze wzloty aeroplanów. Ważną tedy jest rzeczą, w czyjem ręku będzie bufet i restauracya na torze. Pod tym względem publiczność będzie niewątpliwie najzupełniej zadowolona, bufet ten bowiem szemu żołądkowi nie zaszkodzą. Nazwisko p. Włoczkowskiego daje w tym kierunku najzupełniejszą rękojmię. Wszak wszyscy pamiętają, jakie powodzenie miały potrawy jego restauracyi w czasie pobytu szacha perskiego we Lwowie, kiedy to p. Włoczkowski karmił egzotycznego gościa swymi wyrobami w Hotelu George'a. O doskonałości i wysokim poziomie sztuki kulinarnej w restauracyi p. Włoczkowskiego świadczą też wymownie liczne a zawsze



Restauracya na krakowskim torze wyscigowym: Ogólny widok bufetu p. Włoczkowskiego.

powierzono znanemu w Krakowie i Lwowie restauratorowi, p. Aleksandrowi Włoczkowskiemu, byłemu dzierżawcy restauracyi Hotelu George'a we Lwowie, a obecnie hotelu „Pod Różą“ w Krakowie.

P. Włoczkowski jest kuchmistrzem znakomitym, wyszkolonym praktycznie i teoretycznie za granicą, głównie we Francyi, to też potrawy, sporządzane w jego restauracyi, są nadzwyczaj smaczne, a przytem bardzo apetyczne i z pewnością najdelikatniejpierwsze nagrody, zdobywane przezeń na wielu wystawach. Bardzo ważną zaletą bufetu p. Włoczkowskiego będą niskie ceny, pozwalające i mniej zamożnym miłośnikom sportu korzystać z suto zastawionych stołów i różnorodnych napojów.

Życzymy tedy p. Włoczkowskiemu szczerze pogody i powodzenia w jego przedsiębiorstwie.

Nadesłane.

Mechanoleczniczy i ortopedyczny
ZAKŁAD ZANDEROWSKI
Kraków, Zyblikiewicza 9 = Tel. 796.

Oryginalne aparaty Dra Zandera (Sztokholm) oporowe, wahadłowe i poruszane elektrycznością **Gimnastyka lecznicza i ortopedyczna. Leczenię gorącęm powietrzem.** Mięsienie ręczne, wibracyjne i elektryzowanie. **Zakład otwarty od 9—1 i od 4—6.**

Własna pracownia gorsetów, sztucznych kończyn, opasek przepuklinowych i t. d. **Aparat Roentgena** w celach rozpoznawczych chorób wewnętrznych i chirurgicznych.

Dr. Merz, Dr. Starzewski, Dr. Wachtel.

MLECZARNIE E. Dobrzyńskiej
Kraków, Sławkowska L. 12 Nr. Telefonu 562. Plac WW. Świętych L. 9 i 10.
LETNIA: Planty obok biskupiego pałacu.

Do wszystkich ziem polskich kilkaset bardzo ładnych, czystej rasy



Psów tresowanych do obrony, stróżowania, do polowania i do zabawy, oraz młodych szczeniąt **wszystkich gatunków dostarczyłem teraz ku zupełnemu zadowoleniu i polecam z poręką na próbę:**

Olbrzymie długowłose, białe, czerwono-plamiste **psy z góry św. Bernarda**, czarne **Nowofundlandzkie** i żółte jak lwy **Leonbergery (Berghunde)** młode po **70—95 kor.**, jednoroczne dobrze ćwiczone po **110—150 kor.**, największe olbrzymy po **180—260 kor.**

Za taką samą cenę dostarczam też krótkowłosych olbrzymich **niemieckich dogów, angielskich buldogów i boxerów dobermanów,** długowłosych ruskich, **syberyjskich chartów, Barsoje.** Wszystkie są w wieku ponad 1 rok, wyśmienicie wyćwiczone do stróżowania i obrony swego pana.

Psy **średnich gatunków,** jak śliczne **owczarki szkockie „Collie“,** niemieckie psy **„wilki“, pudle, szpice, foxterriery, jamniki, pineze** i t. p. ofiaruje młode po **50 kor.**, starsze do 1-rocznych po **80 kor.**, najlepsze, ćwiczone po **120 kor.**

Najmniejsze karliki do salonów, najładniejsze gatunki małe **ratlery, pinczerki** jedwabne, hiszpańskie, angielskie, japońskie, a **karliczki buldoczki** dostarczam młode po **60 kor.**, ponad rok wieku po **80 kor.**, a najładniejsze po **200 kor.**

Z psów do polowania

mogę natychmiast posłać **najlepszego psa legawca wyżła** bądź też **niemieckiego tygrysa krótkowłosego,** lub angielskiego krótkowłosego **pointra,** albo angielskiego długowłosego **settro** (Laweraka) wyśmienitego 2-letniego **apportera** na każdą leśną i wodną zwierzynę, bardzo dobrego psa na kuropatwy, zające i wszelkie ptactwo błotne **ferm haserein tresowanego,** bez błędów z ładną postawą za **120** do **180 kor.** młode **szczeniaki 2—6** miesięczne za **45—85 kor.** Specyalisty! Ferm tresowane **Spaniely a Schweisshundy i brakyry** za **110—150 kor.** — Wszystkich tych psów dostarczam **z poręką za czystość rasy,** śliczne i zdrowe, na **14 dni na próbę,** jeżeli z tych którego zaraz kto zamówi, a nadeszle mi z góry przekazem poczt. **zadatek na młodego psa 30 kor.,** albo **dorosłego 60 kor.,** również za dostawę z Pragi, ze skrzynią i obrożą, za młodego **6 kor.**, za dorosłego **9 kor.**

Dyrektor eksportowego przedsiębiorstwa „Ogrodu Zoologicznego“ w Pradze
Juc. Karol L. Kukla.
„Zoologicka Zahrada“, Praha, Bubenec (Czechy).



Dla Pań! Przez stałe używanie **kremu Simon** (Crème Simon de Paris) i **mydła à la Crème Simon** przy codziennej toalecie panie mają pewność, że zatrzymają na zawsze powab **piękności i świeżości.** **Dające się użyć w każdej porze roku i w każdym klimacie, te dwa wyborne przetwory wybielają skórę i nadają jej miękkość, elastyczność i nieporównaną delikatność, a równocześnie rozpościerają wspaniały zapach.**

Towarzystwo budowlane
Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością
w Stanisławowie, ul. Sapieżyńska 16

poleca się P. T. Publiczności w następujących czynnościach:
1. w wykonaniu robót budowlanych,
2. przyjmowaniu nadzoru i kierownictwa budowy, udzielaniu wszelkiej porady i informacyi w sprawach budowlanych oraz wykonaniu wszelkich czynności w zakres budownictwa wchodzących.
3. **Utrzymuje na składzie i sprzedaje po najniższych cenach wszelkie materyały budowlane,** jakoto: cement, wapno hydrauliczne, skaliste i gaszone na miarę, deszczułki dębowe i parkiety do podłóg i t. d.

Życia czar niezmącony
nie przypadł w udziale żadnemu śmiertelnikowi. Doświadcza tego każdy, kto po przechadzce, lub wycieczce wraca do domu z silnem przeziębieniem. Można sobie jednak prędko pomódz, jeśli się jak najspieszniej kupi w najbliższej drogneryi lub aptece Faya prawdziwe Sodeńskie pastylki mineralne. Faya Sodeńskie nie dopuszczają do rozwoju przeziębienia a użycie ich jest bardzo wygodne i przyjemne. Cena kor. 1·25 za pudełko. Jeneralne zastępstwo na **Austro-Węgry: W. Th. Guntzert,** c. i k. dostawca nadworny, **Wiedeń, IV/1** Grosse Neugasse 17.

Wybierajcie
z przedłożonych Wam materyałów na suknie damskie i bluzki na letni sezon
tylko najmodniejsze
w kreponach, jedwabnym Poupelinie, Woalach, płótnach na suknie Panama białych i kolorowych batystach, zefirach etc., które my ze względu na rozpoczęty już sezon
po wyjątkowych cenach
oddajemy. Korzystajcie z tak dobrej nadarzającej się sposobności i żądajcie **przysłania za darmo** naszej
letniej kollekcyi próbek
i illustrowanego pisma mód.
Grand Magasin „Au prix fixe“
Wien I., Graben 15/5.
Wejście: od Habsburgergasse 1.

Płyty do gramofonów!
Najnowsze zdjęcia, podwójne, duże po kor. 3·— i wyżej, 10 sztuk kor. 27·50.
Gramofony od Kor. 25·—
POLECA
M. Hackel, fabryka gramofonów
Lwów, Pasaż Mikolascha 4.
Spis płyt franko. — Najkorzystniejsza zamiana starych płyt.





Kalodont
najlepszy krem na zęby.

Atramenty Karmańskiego są najlepsze!

Uznane jako najlepsze
Specyalności gumowe!
Nowość! „OLLA“ z marką gwarancyjną! Wyrób najlepszy! Za tuzin Kor. 2·—, 3·—, 4·—, 5·—, 6·—.
Guma reform dla Panów: Za sztukę Kor. 2. Stale do użycia!
4 interesujące wzory za Kor. 1·— (w markach).
Broszura z illustr. cennikiem darmo.
W zamkniętej kopercie za przesłaniem marki 20 hal.
N. S. Herzog, Wien 17/3, Hernalserstrasse 79.

Zupełna wyprzedaż
poniżej cen własnego kosztu sprzedane zostaną:

Zegarki	Pierścionki	Papierośnice
Zegary pendułowe	Łańcuszki	Broszki
Budziki	Kolczyki	Branzoletki

i wszelkie wyroby złote i srebrne — oraz wyroby z chińskiego srebra.

z powodu burzenia domu przy ulicy Grodzkiej 58 **u Emila Goldwassera** w Krakowie.

Pracownia sukien i kostyumów damskich
Kraków, ul. Karmelicka L. 16, I. p.
POD FIRMĄ **„WANDA“** była krajczyni w firmie **WP. H. Schwarza.**

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

9

— Och! —krzyknęła zaniepokojona młoda panna.

Na szczęście nic się jeszcze nie przypaliło. Julja roześmiała się głośno i szepnęła do swej sąsiadki, Berty, ale tak, iż wszyscy słyszeli jej słowa:

— Zdaje mi się, iż ta przyjaciółka Ewy powinna być już obeznana z kamizelkami...

Ludwika zarumieniła się cała. Prasowaczka ciągnęła dalej półgłosem i wyzywającym tonem:

— Jest jednak szykowna! Tego nie można jej odmawiać! Popatrz tylko, jak prowadzi tem żelazkiem naprzód i w tył... Mógłby kto pomyśleć, że to młoda panna, pomagająca mamie podawać gościom herbatę...

Twarz Ludwiki z czerwonej stała się bladą.

— Julio! — rzekła spokojnie Ewa.

— Co?

— Chcesz, bym ci dała dobrą radę?

— A dużo ich masz?

— Nie zajmuj się moją przyjaciółką.

— Dlaczego?...

— Ponieważ narażasz się na otrzymanie kilka razy w buzię.

Jedno oko Julii pozostało przymknięte, drugie za to błysło gniewnie.

— I to ja zajmę się tym poczęstunkiem — dodała Ewa.

— Ty?

— Ja!... Pilnuj się... Moja ręka dość dużo waży, a lekko się porusza.

— Chciałabym to widzieć! — odparła zuchwale wysoka dziewczyna.

— Cicho tam! — zawołała matka Lambert. — Pracować!

Ewa postawiła swe żelazko, okrążyła stół i stanęła przed Julią.

— Powtórz, cobyś chciała wiedzieć! —rzekła.— Zobaczysz to tylko jednem okiem, ale natomiast poczujesz na dwóch policzkach!

Prasowaczka wzruszyła ramionami.

— Jeżeli sądzisz — ciągnęła dalej Ewa — że mnie przestraszysz, udając miny apasza, gdy wyciąga nóż z rękawa, to się grubo mylisz.

Czekała przez chwilę, czy Julia ośmieli się co powiedzieć. Potem wróciła na swe miejsce, kończąc:

— Już uprzedziłam. A pierwsza, co się sprzeciwi, przekona się, czy z mej ręki będzie kapał na nią miód!

O tej wczesnej porze, gdy Ludwika stanęła po raz pierwszy do swego ciężkiego zajęcia, Lewis Jackson pracował już oddawna. Po powrocie poprzedniego wieczoru od Maksyma Dureta, miliarder udał się do hotelu Tuilleries-Palace, gdzie Joe Smith zamówił wspaniały apartament. Wziął stąd swą walizkę i kazał się zawieść do bardzo skromnego hoteliku przy ulicy Amsterdamskiej. Tutaj zajął pokój więcej, niż skromnie umeblowany. Wstał z łóżka razem ze wschodem słońca i teraz siedział razem z Joem Smithem przy małym koszlawym stoliku.

O ósmej godzinie światło nie przenikało jeszcze wcale przez okno, które wychodziło na brudne, ciemne podwórze, głębokie jak studnia. Obydwaj mężczyźni oświetleni byli niewielką świecą, wsadzoną do fajansowego lichtarza, pomalowanego w czerwone kwiatki. Przy drżącem i kopcącem świetle świecy, wielki businessman z natężoną uwagą odczytywał jedną po drugiej depesze, których cały plik leżał przed nim. Po przeczytaniu każdej namyślał się przez chwilę i podawał ją Smithowi, wyjaśniając kilku słowami odpowiedź, jaką sekretarz winien był na nią dać. Smith z piórem w ręku stenografował pośpiesznie na odwrotnej stronie depeszy wskazówki, jakie mu dawał pryncypał.

Podczas podróży z Nowego Jorku do Cherbourga, businessman pozostawał w ciągłej komunikacyi z Ameryką, dzięki telegrafowi bez drutu, znajdującemu się na pokładzie. Gdy tylko stanął na lądzie, zatelegrafował zaraz nazwę hotelu, w którym miał zamieszkać wraz ze swym sekretarzem. Nie zdążył jeszcze przybyć do Tuileries-Palace, gdy czekało już tam na niego kilkanaście depesz. Spraw swych nie przerywał w ten sposób ani na chwilę. I właśnie załatwianiem tej obszernej korespondencyi zajęty był teraz w biednym pokoiku najpodrzędniejszego hotelu. Wspaniały apartament w hotelu przy ulicy Rivoli miał mu służyć jedynie do otrzymywania poczty i do ulokowania w nim swego sekretarza.

Naraz Smith kichnął. Na głowę włożył zaraz kapelusz i podniósł do góry kołnierz od palta.

— Zimno panu? — zapytał miliarder.

— Trochę...

— *Well*! Każ pan napalić!

— Dziękuję.

Sekretarz był przemarznięty. Pośpieszył też zadzwonić. W chwilę potem zjawił się posługacz w białym fartuchu. Był to wysoki, wychudzony, przygarbiony człowiek ze i zgłodniałą miną, a czarne, wielkie, opadające niedbale na dół wąsy, podkreślały jeszcze bladość jego mizernej twarzy.

— Napalić! — zawołał Joe Smith, nie przestając stenografować instrukcyi miliardera, odnoszących się do zarządu kopalni złota.

— Dobrze, proszę pana — odrzekł blady posługacz. — Pan wie, że opał płaci się oddzielnie?

— Proszę się pośpieszyć!

— Czy pan każe napalić drzewem czy węglem?... Wiązka podpałek i trzy wielkie polana liczy się pięćdziesiąt centymów... Węgiel mierzy się na wiadra i kosztuje...

— Przynieś drzewa i węgla! — przerwał Amerykanin.

Posługacz wyszedł, ciągnąc na nogach wielkie, znoszne pantofle. Miliarder i sekretarz nie przerywali swej pracy. Od kopalni złota przeszli teraz do jednej z największych dróg żelaznych w Stanach Zjednoczonych.

Wkrótce ukazał się znowu posługacz, niosąc w ręku wiadro węgla, a w fartuchu kilka kawałków drzewa. Złożył to wszystko przed kominkiem, ukląkł i zapytał się, zwracając się do Smitha:

— Czem palić naprzód?

— Wszystkiem — odparł Smith, nie wypuszczając pióra z ręki.

Posługacz zdumiony tą lakonicznością a zarazem i rozrzutnością, zaczął układać wolno, prawie z religijnem namaszczeniem węgle i drzewo w kominku. Możnaby powiedzieć, że jest to kapłan hinduski przed ołtarzem ze świętym ogniem. W trzy minuty potem jakiś dziennik palił się na tem rusztowaniu i drewienka poczęły zwolna zajmować się płomieniem.

Smith, pisząc ciągle, rzucił okiem w stronę kominka.

— Za wolno to wszystko idzie — rzekł. — Rzucić do ognia świecę!

Ruchem głowy wskazał na całą świecę, stojącą w drugim porcelanowym lichtarzu na kominku.

Posługacz spojrzał na Joego Smitha szeroko rozwartemi oczami. Zdawał się nie rozumieć, czego od niego chcą.

Sekretarz nie okazywał najmniejszego zniecierpliwienia. Ten brudny hotel, ten służący o wygłodniałej i ogłupiałej twarzy, ten sposób palenia tak prymitywny dla Amerykanina, przyzwyczajonego do elektrycznych pieców, wszystko to umiał znosić z pewnem lekceważeniem i obojętnością. do jakiej mógł się przyzwyczaić w czasie uciążliwej ekspedycyi do skalistych gór, lub podczas mroźnego pobytu w Klondyke.

Joe Smith potrafił znosić wszystko. Tylko gdy w towarzystwie swego pryncypała narażał się na jakie niebezpieczeństwo lub choćby niewygody, to wiedział, dlaczego musi im się poddawać. Teraz zaś nie mógł zupełnie domyśleć się powodów zamieszkania w tak nędznym hoteliku przy ulicy Amsterdamskiej. To go drażniło. Coraz bardziej stawał się zaintrygowany. Mimo to z zupełnym spokojem wstał z krzesła, wziął z lichtarza nową świecę, złamał ją we dwoje i rzucił do ognia, który nie chciał się rozpalać.

— Och! — zawołał posługacz.

Potem dodał:

— Świeca liczy się dwadzieścia pięć centymów.

— Jeżeli chcesz, może się liczyć i dwadzieścia pięć dolarów! — odrzekł gniewnie Amerykanin, siadając z powrotem przy stole.

Służący milczał. Nie wiedział nawet, co to jest dolar.

Swieca zaczęła topnieć i płomienie obejmujące drzewo i węgiel stawały się coraz większe. Smith wyciągnął swe długie nogi w stronę kominka.

— Już skończone! —rzekł do posługacza, który klęcząc oniemiały przed ogniem, zdawał się zasypiać.

Służący wstał i wyszedł.

— *Well!* — odezwał się w chwilę potem Lewis Jackson. — Już załatwiliśmy wszystko!

Cała paczka depesz przeszła teraz od miliardera do rąk sekretarza.

— Może pan wracać do Tuileries-Palace — mówił dalej businessman. — Tam panu będzie wygodniej załatwiać się z korespondencyą.

— *All rigth!* — odrzekł Joe Smith, wkładając depesze do portfelu.

— Przed wyjściem niech pan zatelefonuje do pana Piotra Cartelegue'a na placu Trocadero i do Maksyma Dureta w Neuilly, że jestem tutaj.

— *Yes!*

I sekretarz wyszedł.

Nie upłynął kwadrans, gdy Piotr jak powiew wiatru wpadł do pokoju swego wuja.

— I co? — zapytał głosem, pełnym niepokoju i drżącym ze wzruszenia.

— Nie wiele ci, mój chłopcze, mam do zakomunikowania.

I miliarder opowiedział mu swą wizytę u pani de Lagunan.

— Z ulicy Ampere — mówił dalej — udałem się do Neuilly, do Dureta... Wuj powtarzał mi prawie dosłownie słowa swej siostrzenicy... Dodał jednak kilka szczegółów, dotyczących tego Karola Turnera...

— Jakto? — zdumiał się Piotr. — Karol Turner nie jest więc postacią urojoną, jak to przypuszczaliśmy?

— Duret utrzymuje, że jest to bogaty przemysłowiec z Australii... Twierdzi nawet, że załatwiał z nim dawniej interesy handlowe... Nie zna jednak obecnego jego adresu...

— A więc?...

— A więc musimy naprzód stwierdzić istnienie tego człowieka... Ja się tem zajmę... Zatelegrafowałem wczoraj wieczorem do pewnego banku w Melbourne... Tutaj mi przyślą odpowiedź... *Entrez!*

Zapukano dwa razy lekko do drzwi. Na progu ukazał się służący.

— Depesza do paa!

Lewis Jackson wziął podany sobie niebieski papier i zaraz go rozpieczętował.

— Oto i odpowiedź! — rzekł.

— Na depeszę wuja?

— Tak.

Miliarder, tłómacząc tekst angielski, przeczytał głośno:

„Karol Turner znana osobistość naszego miasta.

Obecnie w podróży i zapewne teraz bawi w Europie“.

Duret rzeczywiście nie kłamał, mówiąc o istnieniu Australczyka. Nie kłamał również, utrzymując, że go zna. Nie zbyt dawno przedtem, pewien przemysłowiec malburski w przejeździe przez Paryż, zjawił się u filantropijnego prezesa z listem polecającym od wspólnego ich znajomego. Nazywał on się Karol Turner. Duret oprowadził go po stolicy Francyi, poczem *globe-trotter* udał się w dalszą podróż dokoła świata.

Gdy wkrótce potem prezes szukał jakiegoś nazwiska, by podpisać niem listy, adresowane do Ludwiki, przyszedł mu wtedy na myśl bogaty Australczyk.

Lewis Jackson podał depeszę Piotrowi Cartelegue'owi i zamyślił się. Otrzymana wiadomość nie rozproszyła jego podejrzeń.

— Karol Turner nie jest zmyślony...— rzekł.— Dobrze!... Lecz czy on istotnie pisał te listy?...

— On sam tylko mógłby na to odpowiedzieć...— odparł Piotr. — Lecz gdzie go szukać?...

Młody człowiek zaciskał bezsilnie pięści i spacerował niespokojnie po małym pokoiku. Ta przedłużająca się niepewność była dla niego gorszą od złej rzeczywistości.

— Gdzie go szukać? — powtarzał.

Znowu zapukano dwa razy do drzwi i znowu pojawił się posługacz.

— Ktoś prosi pana do telefonu.

— Idę.

Miliarder zbiegł szybko do biura hotelowego i przyłożył pośpiesznie do ucha słuchawkę.

— Hallo! — zawołano.

— Hallo! Pan Maixent? — odezwał się głos filantropa.

— Tak... To pan Duret?

— Ja... Zatelefonowano mi przed chwilą pański adres i korzystam zaraz z niego, by zawiadomić pana, że odnalazłem Australczyka...

— Ach!... To bardzo dobrze!...

— Chcę również zaprosić pana na małe przyjęcie, jakie wydaje dzisiaj wieczór moja siostrzenica... Proszę bardzo przybyć... Będzie również i Piotr Cartelegue... Dowiemy się przy tej sposobności z ust naszego jegomościa, czy jest autorem tych listów, czy też jaki fałszerz nadużył jego nazwiska...

— Bardzo pięknie!

— Czy siostrzenica moja i ja możemy liczyć na pana?

— Najzupełniej!

— A więc do wieczora!

— Tak! Dziękuję!

W chwili gdy kończyła się ta rozmowa telefoniczna, wynajęty powóz wjeżdżał na dziedziniec Tuileries-Palace. Przy stangrecie leżał duży kufer, z tyłu zaś biegł oberwany *bagotier*.

Bagotierami nazywają się w Paryżu biedni bezdomni tragarze, którzy czatują i biegną za dorożkami z bagażem. Całe kilometry przebiegają oni tak za dorożką i gdy pasażer wysiada, ofiarowują mu wtedy swe usługi do zaniesienia do mieszkania rzeczy. Zadyszani, spoceni chwytają z herkulesową siłą najcięższe kufry i niosą je na wszystkie piętra.

Powóz zatoczył półkole, zatrzymał się przed podjazdem hotelu, poczem stangret otworzył drzwiczki i ukazał się w nich okazały mężczyzna. Strój jego był jak najwykwintniejszy. Stangretowi dał monetę, za którą otrzymał jak najniższy ukłon i wszedł do westybulu. Naraz usłyszał za sobą jakiś hałas. Służący hotelowi wypędzali bagotiera, który ze wszystkich sił im się opierał. Potężnie rozwinięte muszkuły, nizkie czoło i wielkie błyszczące niebieskie oczy, nadawały mu wyrazu człowieka niezwykłej siły, przeciwnicy też jego zawołali o pomoc.

Przybysz zrobił ruch zdziwienia na widok człowieka, którego nie zauważył za swym powozem. Zaczął nadsłuchiwać, lecz starczyło kilka słów, by zrozumiał. o co chodzi.

— Ach! Puśćcie tego biedaka! — rzekł z wyraźnym angielskim akcentem. — Chcę, aby on zaniósł mój kufer.

— Proszę pana — odezwał się jeden ze służących — przepisy Tuileries-Palace zabraniają wstępu...

(Ciąg dalszy nastąpi)

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył W. L. Kraków.

Pierwsze, uczucie nadzwyczaj przyjemne,
Szczególniej tam działa, gdzie serca wzajemne,
Sprzętem kuchennym są drugie i trzecie,
We wiejskiej chacie zawsze je znajdziecie,
Całość hetman polski z wojen szwedzkich znany
W dziejach ojczystych chlubnie zapisany.

Szarada.

Ułożyła M. Sulima, Sławina.

Pierwsze zaimek, drugie wabi w lecie
Aby pobiegać, lub też zbierać kwiecie.
Całość to owoc tak bardzo lubiony,
Trwały na zimę, wprost nieoceniony.

Logogryf.

Ułożył M. Tristis, Lwów.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby utworzyć szereg wyrazów, o podanem niżej znaczeniu. Litery wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, utworzą w pierwszym rzędzie nazwisko współczesnego malarza i powieściopisarza polskiego, w trzecim tytuł jednego z jego dzieł.

□ — □ —
□ — □ —
□ — □ —
□ — □ —
□ — □ —
□ — □ —
□ — □ —

Znaczenie wyrazów: 1. Roślina, używana jako pokarm. 2. Tłuszcz rybi. 3. Góry w Ameryce. 4. Dawna stolica państwa perskiego. 5. Posłanniczka bogów. 6. Imię żeńskie. 7. Inaczej sklepik.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył M. Tristis, Lwów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
Ryży, ład, gaża, Wicia, budy, mój, re.

Trójkąt magiczny.

Ułożył W. K. Zborów.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić litery, aby powstał szereg wyrazów o podanem niżej znaczeniu. Pierwszy wiersz pionowy, czytany z góry na dół i pierwszy poziomy utworzą imię i nazwisko polskiego historyka.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Funkcyonaryusz gminny. 3. Kasta społeczna. 4. Powieść Kraszewskiego. 5. Postać, znana w Biblii. 6. Miasto w Królestwie polskiem. 7. Tytuł, nadawany zakonnicy. 8. Zwierzę drapieżne. 9. Imię męskie. 10. Kwiat. 11. Inaczej odgłos. 12. Zwierzę domowe. 13. Wykrzyknik. 14. Spółgłoska.

Łamigłówka.

Ułożył W. K. Zborów.

Z każdego z podanych wyrazów wyjąć po jednej literze i utworzyć z nich znane przysłowie:

Koc, tur, dok, raz, ale, noc, Iwo, lep, aga, tor, gaz, bej, rej, ter.

Logogryf.

Ułożył C. Dorożyński Warszawa.

Litery, wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko zmarłego niedawno w Krakowie literata i dziennikarza.

□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — — □ — — — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
— — — □ — — —
— — — — □ — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Dziennik czeski. 3. Kompozycya Z. Noskowskiego. 4. Bożek grecki. 5. Spis majątku. 6. Człowiek wątpiący o wszystkiem. 7. Miasto w Królestwie polskiem. 8. Jednostka pracy. 9. Znany pisarz francuski. 10. Powieść A. Piętkiewicza.

Arytmograf.

Ułożyła W. Lewicka Czarna.

Liczby i kwadraty zastąpić w ten sposób literami, aby rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzył nazwę miejscowości na Litwie, pamiętnej z walk krzyżackich.

□
5 □ 1
22 18 □ 15 1
16 □ 16
□

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Okres czasu. 3. Ptak. 4. Część ciała. 5. Samogłoska.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Maurycego Jokaja:* **Poruszymy z posad ziemię.** Powieść w czterech tomach.

Właściciel i wydawca: Stanisław Lipiński. Za Redakcyę odpowiedzialny: Wacław Lipiński Klisze z własnego zakładu Drukiem D. E. Friedleina w Krakowie